

Recz na rzeczy

Recz. Naturalnie!



Recz 2018

S ł o w o w s t ę p n e

W sobotnie popołudnie 24 marca 2018 r. w hali sportowo-widowiskowej w Reczu odbyły się uroczystości pod nazwą: „**Recz. Naturalnie!**”. Pod tym hasłem organizatorzy chcieli oddać cześć mieszkańcom gminy Recz, a zwłaszcza tym, którzy są silnie związani z przyrodą i rolnictwem.

Już po raz trzeci wskazano pozytywną energię, która tkwi w mieszkańcach naszej gminy, organizując 73. *Rocznice Polskości na Ziemiach Zachodnich*. We wcześniejszych latach odbyły się uroczystości pod nazwą „**Recz. Fantastycznie!**”, podczas których uhonorowano osoby i miejsca tworzące powojenną historię Recza, oddano również hołd osobom i instytucjom tworzącym kulturę i oświatę – ta uroczystość odbywała się pod hasłem „**Recz. Kultu-ralnie!**”. Jednym z efektów tych imprez są publikacje, pt. „Recz na rzeczy”, które stanowią dziś historię Recza opowiedzianą słowami mieszkańców, a spisane zostały przez uczniów naszej szkoły.

Bardzo istotną rolę w tworzeniu się polskości na ziemi reckiej odgrywali i odgrywają nadal rolnicy. Ich praca, zwykle bardzo ciężka, była jednym z kluczowych czynników, które spajały społeczności mieszkające i napływające na te tereny. Wielkie podziękowania należą się panom: Andrzejowi Hejzie, Tadeuszowi Cybulskiemu, Wiesławowi Majce, Stanisławowi Barnie oraz Józefowi Kościukiewiczowi, a także pani Sylwii Efuom za to, że zechcieli się podzielić **swoimi wspomnieniami**, których fragmenty można było usłyszeć podczas imprezy. Są one również **fundamentem niniejszej publikacji**.

Jedną z najważniejszych atrakcji Recza i okolic są **walory przyrodnicze**. Podczas części naukowej panie: dr inż. Elżbieta Dusza - Zwolińska z Wydziału Kształtowania Środowiska i Rolnictwa Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego, Aleksandra Albińska z Ligi Ochrony Przyrody oraz Maria Wojciechowska – inicjatorka powstania rezerwatu przyrody „Grądowe Zbocze” podzieliły się swoją wiedzą i doświadczeniem na temat ochrony przyrody i wrażliwości na naturę. **Ciekawie przygotowane i zaprezentowane wykłady** pokazały dużą różnorodność przyrodniczą naszej gminy i uzmysłowiły uczestnikom, jak wiele atrakcji krajobrazowych i florystycznych znajduje się niedaleko nas. W niniejszej publikacji przedstawiono obszernie fragmenty wykładów Pani Elżbiety Duszy-Zwolińskiej oraz Pani Marii Wojciechowskiej.

Agnieszka Koźbiał - dyrektor MGOKiS,
Maciej Gryczewski – dyrektor Szkoły Podstawowej w Reczu

Niniejsza publikacja została wydana dzięki wsparciu:

Zachodniopomorskiej Izby Rolniczej,
 Zachodniopomorskiego Banku Spółdzielczego,
 Starostwa Powiatowego w Choszcznie,
 Pana Radosława Tomicza,
 Państwa Stanisława i Marzeny Barna,
 Pana Zbigniewa Karpińskiego,
 Pana Ryszarda Dobrzanieckiego,
 Pana Piotra Cybulskiego.

Organizatorzy 73. Rocznicy Polskości na Ziemiach Zachodnich „Recz. Naturalnie!”:

Szkoła Podstawowa im. Stefana Czarnieckiego w Reczu,
 Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury i Sportu w Reczu,
 Towarzystwo Miłośników Recza,
 Gmina Recz,
 Fundacja Wspierania Kultury „Noc Poetów”.



*O historii powstania rezerwatu
„Grądowe Zboczce” opowiada
Pani Maria Wojciechowska*

O rezerwacie najlepiej mi się rozmawia będąc w nim, bo tam są warunki, gdzie na bieżąco piękno tego malutkiego zakątka można obserwować, zachwycać się nim. Trudno obiektywnie ocenić piękno tego miejsca.

Pierwsze oznaki jego wyjątkowości pojawiają się już w kwietniu. Tam najwcześniej przychodzi wiosna – tak mawiają ludzie, którzy mieszkają tam od lat. Już w kwietniu właśnie zaczyna robić się różowo pod drzewami od kokoryczy kwitnącej. Potem w maju kwitnie czosnek niedźwiedzi, później bniec czerwony – i tak można wymieniać i wymieniać.

Pozwolę sobie przybliżyć genezę tego miejsca.

Zacznę od tego, że w 1981 roku pojechałam z moją klasą na wykopki do Sicka. Tam była spółdzielnia produkcyjna, której prezesem był Pan Ryszard Zwolak. Wtedy studiowałam i jako jedno z zadań miałam do wykonania zielnik. Pomyślałam sobie, że wykorzystam ten moment i trochę roślin sobie nazbieram. Pan Zwolak powiedział do mnie tak: „Wiesz co, jakbyś chciała zrobić dobry zielnik, to ci powiem, że niedaleko mojej działki jest las, a w nim jest bardzo dużo ciekawych, unikatowych roślin”. Pomyślałam – dlaczego nie! Poszłam i nazbierałam trochę.

*Po roku z grupą studentów znalazłam się w Wielkopolskim Parku Narodowym na wybieżce dydaktycznej, podczas której należało rozpoznawać rosnące tam rośliny. Jedna z koleżanek zapytała prowadzącego zajęcia, jak nazywa się jedna z roślin. Docent – nasz opiekun – spojrzał na roślinę i ... nie potrafił sobie przypomnieć nazwy części gatunkowej łacińskiej nazwy. Wtedy ja powiedziałam, że jest to *Allium ursinum* (czosnek niedźwiedzi). Pan docent zapytał, skąd znam tę roślinę. Wtedy odparłam, że rosną w naszym lesie, niedaleko Recza. Zapytał mnie, czy mogłabym przywieźć kilka okazów tej rośliny. Powiedziałam, że oczywiście.*

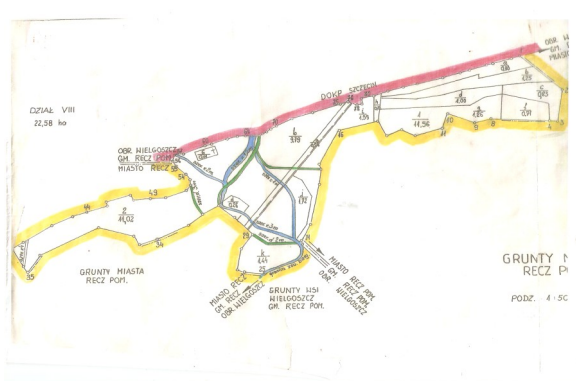
Udałam się do lasu i ... zostałam zauroczona! Akurat był to okres wiosenny, koniec maja, a w tym lesie biało!!! Zapach czosnku rozpościerał się wszędzie! Raj!

Wykopałam dwa okazy tej rośliny, a wracając zobaczyłam inną jeszcze roślinę – o liściach strzałkowatych i o dużym kwiecie – też jej nie znałam wtedy. Te dwie rośliny zawiozłam do Poznania.

Udałam się do Wydziału Taksonomii Roślin Uniwersytetu Poznańskiego. Pan doktor ogląda ..., patrzy ... i poznaje czosnek niedźwiedzi. Zapytał o tę drugą roślinę. Powiedzia-

łam, że przywiozłam z tego samego miejsca. Doktor udał się do prof. Waldemara Żukowskiego – kierownika Zakładu Taksonomii Roślin UAM – i mówi: „Niech profesor zobaczy, co nam ta studentka przywiozła”. Profesor Żukowski obejrzał dokładnie roślinę i mówi, że są to obrazki plamiste (*Arum maculatum*), i że to jest tak rzadka roślina w Polsce, że jest zachwycony, że mógł ją zobaczyć na własne oczy.

Profesor Żukowski zaproponował mi, żebym zajęła się w swojej pracy magisterskiej tymi obrazkami plamistymi. Nie ukrywam, że było mi to na rękę, iż mogę w jednym małym miejscu załatwić całą



sprawę mojej pracy magisterskiej (wcześniej planowałam bowiem badać życie ślimaków winniczków na terenie całego powiatu choszczeńskiego!). Zgodziłam się. Temat mojej pracy brzmiał: „Badania nad biologią *Arum maculatum* na stanowisku w Reczu”.

Przez dwa lata miejsce to odwiedzałam systematycznie – badałam, liczyłam, oglądałam. Oczywiście opierałam się także na materiałach otrzymanych od Pana Ryszarda Zwolaka, absolwenta Akademii Rolniczej. Pan Zwolak bardzo mi pomógł w badaniach, gdyż moja wiedza była wtedy jeszcze zbyt mała, abym sama mogła takie naukowe obserwacje prowadzić. Analizy i studia prowadziłam w latach 1982-1984.

Następną ważną datą był rok 1985 lub 1986. Z grupą nauczycieli przyrodników z obszaru choszczeńskiego spotkaliśmy się na konferencji metodycznej i pracowaliśmy w zespole samokształceniowym. Jedno z takich spotkań odbywało się w naszym lesie. Wszyscy byli zachwyceni. Prowadziłam zajęcia warsztatowe z młodzieżą – dzieciaki szalały po tym lesie: badały, oglądały, nazywały...! Na jeden z zespołów zaprosiliśmy profesora Lucjana Agapowa oraz wojewódzkiego konserwatora przyrody inż. Franciszka Śmierzchalskiego. Przyjechali ze mną do Recza, gdyż chciałam ich poprosić o opinię na temat drzewostanu. Naukowcy wychodzili z podziwu! Stwierdzili, że tego miejsca nie można tak zostawić – tu musi być rezerwat! Utwierdzili się w tym przekonaniu wtedy, gdy zobaczyli największy grzyb świata – purchawicę olbrzymią (*Langermania gigantea*)! Okazało się wtedy, że badania naukowe w tym miejscu już w latach 70-tych prowadzili naukowcy z Akademii Rolniczej ze Szczecina – m.in. państwo Janina i Mieczysław Jasnowscy. Już wtedy pojawiła się idea, aby to miejsce zostało rezerwatem.

Profesor Agapow zaproponował, abym to ja zrobiła całą dokumentację. Stwierdziłam, że to jest takie zadanie, którego ja nie dam rady przeskoczyć. Profesor zmobilizował mnie jednak mówiąc, że warto wierzyć w siebie i zadeklarował pomoc. Otrzymałam dokumentację projektową jednego z

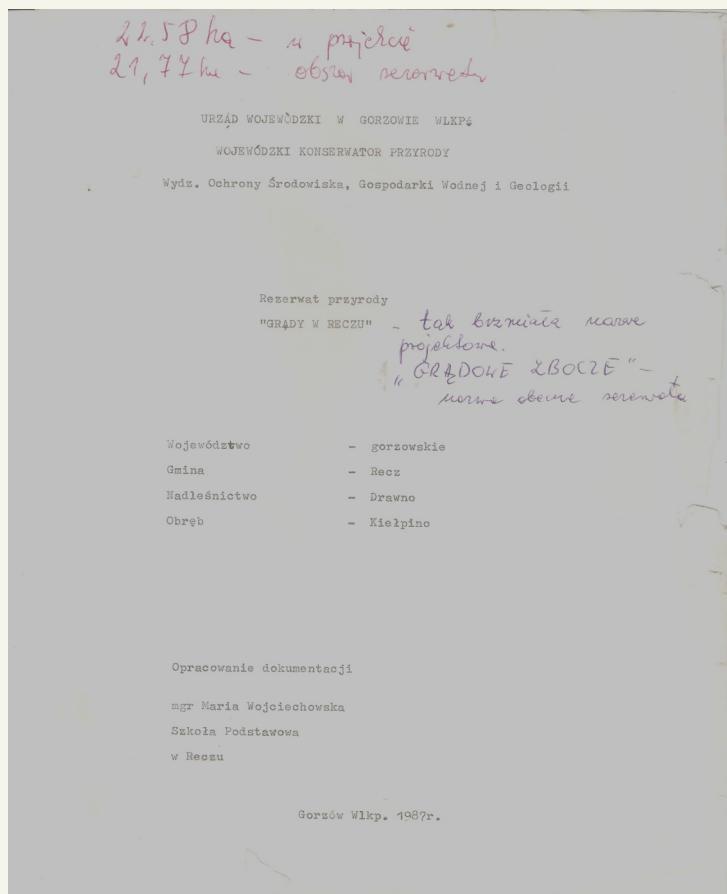
rezerwatów, którego był autorem. Pomyślałam, że spróbuję!

Wzorując się na pracy prof. Agapowa, zaczęłam działać. Udało się, choć nie było lekko. Była to praca ciężka, żmudna; ważna była dokładność, wiele wizyt w różnych instytucjach w Gorzowie, Drawnie. Potem trzeba było to wszystko spisać. Robiłam to wieczorami na maszynie do pisania przyniesionej przez mojego męża. Po wielu miesiącach zrobiłam całą dokumentację i projekt rezerwatu!

W 1987 roku zawiozłam ten projekt do Wojewódzkiego Wydziału Ochrony Środowiska, Gospodarki Wodnej i Geologii w Gorzowie Wlkp. Dokumentacja została pozytywnie zaopiniowana przez Wojewódzki Komitet Ochrony Przyrody w Gorzowie Wlkp. i wysłana do Ministerstwa Środowiska.

Ministrem Środowiska był wówczas Pan Stanisław Żelichowski. W międzyczasie okazało się, że trzeba zmienić nazwę, bo pierwotnie nazywało się to „Grądy w Reczu”. Zmiany w przepisach wskazywały jednak, że w nazwach takich obiektów nie może być nazwy miejscowości. Ustalono, że rezerwat zostanie nazwany: „Grądowe Zbocze”. Tak dokumentację pozostawiono.

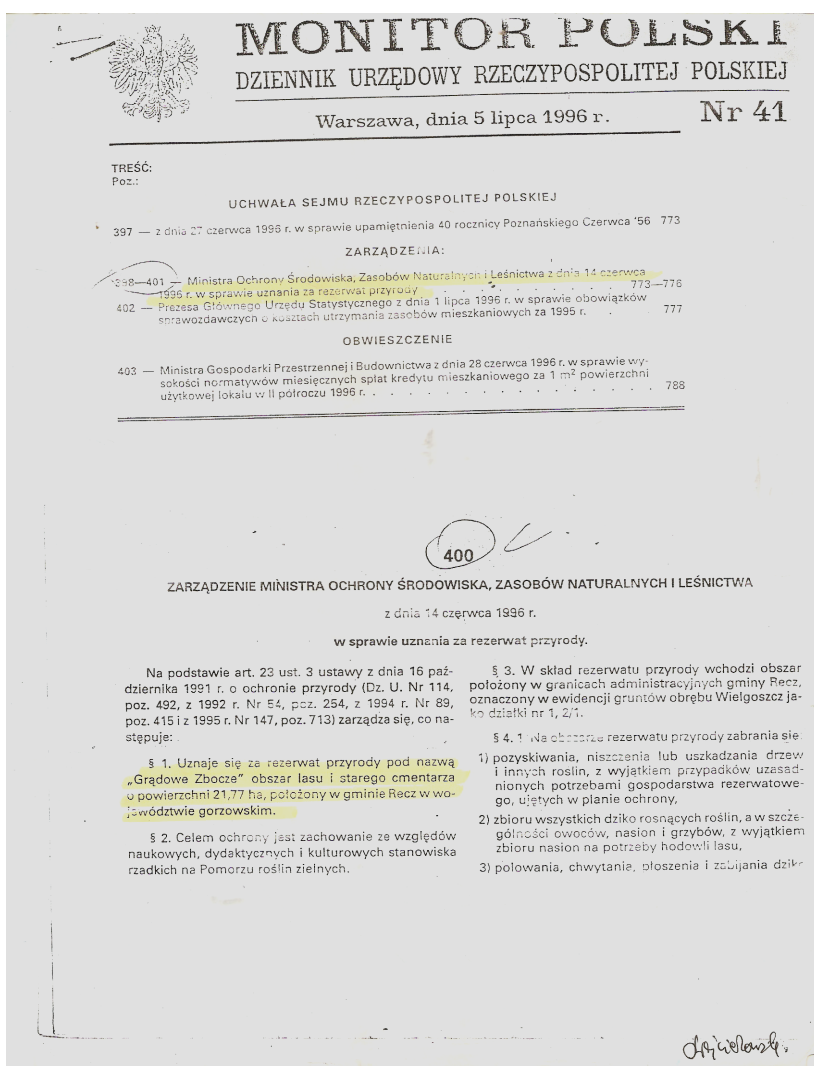
Dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy w Reczu powstało Towarzystwo



Miłośników Recza, powróciliśmy do tematu. Pamiętam, że kilka osób zaangażowało się promocję tego miejsca tak, aby sfinalizować projekt rezerwatu. Byli to głównie: Pan Zbigniew Ligus, Pani Barbara Petschke, Pan Adolf Długosz, którzy swoją dociekliwością i konsekwencją osiągnęli cel.

Pewnego dnia, kiedy byłam w jakiejś sprawie w urzędzie, zagadnął mnie ówczesny Burmistrz Recza Pan Czesław Mojecki i pokazał mi Monitor Polski z dnia 5 lipca 1996 roku, w którym znajduje się Zarządzenie Ministra Ochrony Środowiska

ska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa z dnia 14 czerwca 1996 roku w sprawie uznania „Grądowego Zbocza” za rezerwat przyrody: „Uznaje się za rezerwat przyrody pod nazwą „Grądowe Zbocze” obszar lasu i starego cmentarza o pow. 21,7 ha, gm. Recz w woj. gorzowskim. Celem ochrony jest zachowanie ze względów naukowych, dydaktycznych i kulturalnych stanowiska rzadkich gatunków roślin zielonych. W skład rezerwatu wchodzi obszar w granicach administracyjnych gminy Recz”. No i stało się!



Chciałabym z tego miejsca podziękować osobie, która pierwsza powiedziała mi o czosnku niedźwiedzim i zainspirowała do działania – Panu Ryszardowi Zwolakowi. Dziękuję także wielu osobom z Towarzystwa Miłośników Recza, które nie ustawały w wysiłkach, aby całą pracę doprowadzić do końca.

Od tamtego czasu bardzo często przebywałam w rezerwacie: sama, z młodzieżą, emerytami, uczniami. Dzieci stawały się potem najlepszymi przewodnikami dla swoich rodziców. Gdy zaczęłam pracę w gimnazjum, jeździłam tam z uczniami klas pierwszych. Okazywało się, że wielu nigdy tam wcześniej nie było! Ale od czasu

tych wycieczek systematycznie wracają. My też tam wracamy, ja tam wracam. Ostatnio z podopiecznymi Środowiskowego Domu Samopomocy, którzy pytają, kiedy jeszcze! No ... jeszcze!

Zapraszam wszystkich na spacer i swoistą naturalną inhalację. Warto!

Maria Wojciechowska

„ C u d z e c h w a l i c i e , s w e g o n i e z n a c i e ”
- f o r m y o c h r o n y p r z y r o d y o k o l i c R e c z a

O istniejących formach ochrony przyrody, głównych gatunkach, siedliskach, zadrzewieniach śródlądowych jako elemencie zwiększającym bioróżnorodność na terenie gminy Recz oraz w jej bliskim sąsiedztwie opowiada dr inż. Elżbieta Dusza-Zwolińska.

Według Ustawy o ochronie przyrody z 2004 roku mamy 10 form ochrony przyrody: osiem z nich ma charakter powierzchniowy, a dwie indywidualny – stanowiska dokumentacyjne i ochrona gatunkowa roślin i zwierząt.

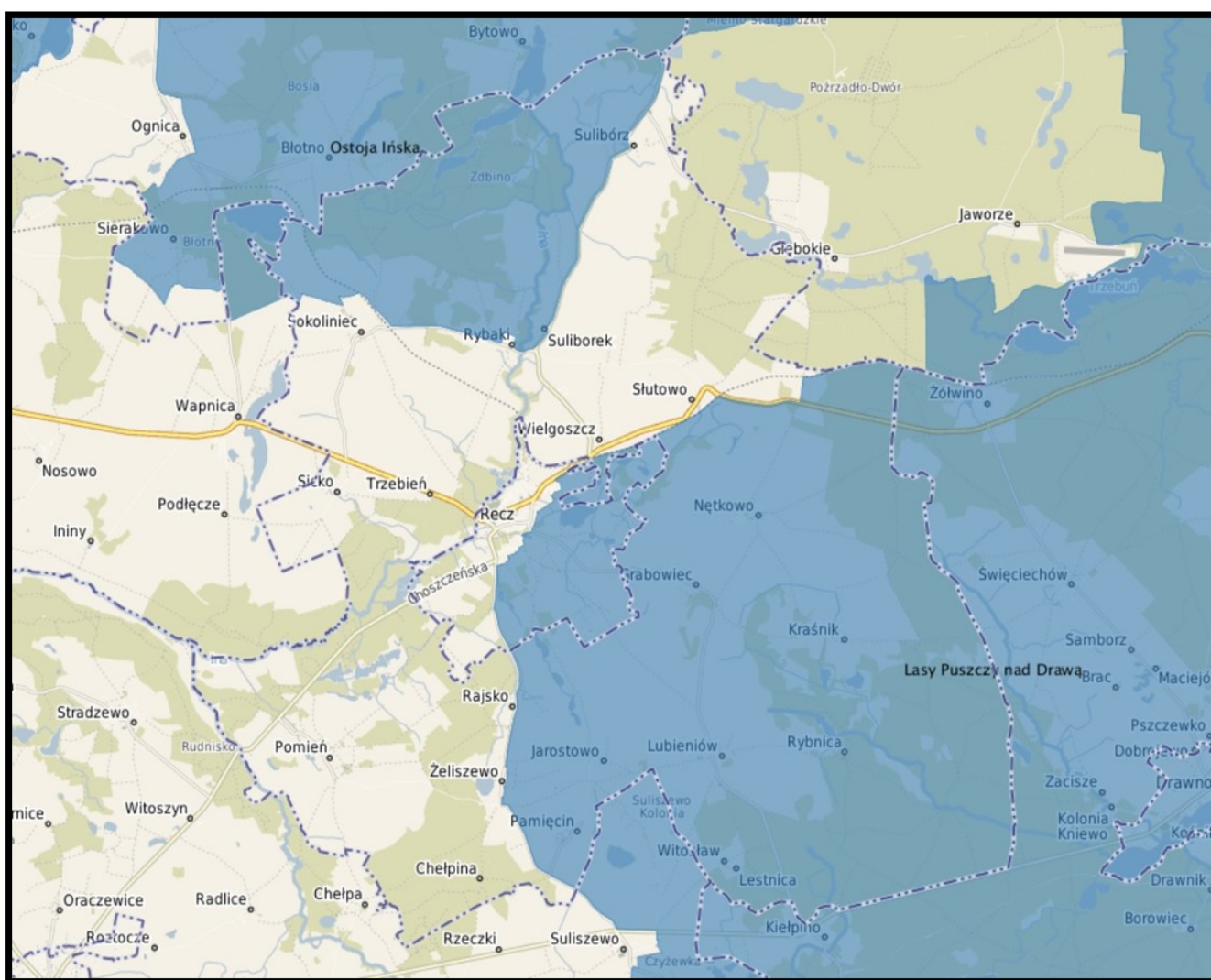
Na terenie gminy Recz pierwszą, najważniejszą i chyba najbardziej znaną formą ochrony przyrody jest rezerwat przyrody „Grądowe Zbocze”, którego inicjatorką była p. Maria Wojciechowska.

Pozwolę sobie na omówienie pozostałych, mniej znanych form, występujących w okolicach Recza. Jednymi z mniej znanych form ochrony przyrody są użytki ekologiczne. Na terenie gminy Recz znajdują się cztery takie użytki. Są one powierzchniowo niewielkie, ale bardzo cenne przyrodniczo. Mamy do czynienia z użytkiem ekologicznym „Niebieski korytarz ekologiczny koryta rzeki Iny i jej dopływów”. Jest to korytarz ekologiczny, którego celem jest zachowanie w odpowiednim stanie wód płynących, ze względu na migracje ryb łososiowych. Dodatkowo na terenie gminy znajdują się: użytk ekologiczny „Lubieniowskie Rosiczki” oraz „Wełniankowy Mszar”. To niewielkie powierzchniowo użytki objęte ochroną. „Lubieniowskie Rosiczki” to przede wszystkim teren dystroficznego jeziora, które zostało objęte ochroną ze względu na występowanie siedliska rosiczki okrągłolistnej. Do tego stwierdzono tam występowanie takich gatunków jak: żurawina, wełniczka wąskolistna – gatunki roślin objęte ochroną.

Lokalizacja pomnika	Spis obiektu		
	Rodzaj i wiek	Obwód [cm]	Wysokość [m]
1 Wielgoszcz	Buk zwyczajny, 200 lat	455	30
2 Lubieniów	Lipa drobnolistna, 150 lat	510	28
3 Lubieniów	Świerk pospolity, 100 lat	300	21
4 Lubieniów	11 Dębów szypułkowych po 300 lat	290 – 480	19 – 29
5 Lubieniów	11 Buków zwyczajnych po ok. 200 lat	273 – 465	20 – 30
6 Lubieniów	2 Lipy drobnolistne po ok. 150 lat	300 i 368	24
7 Lubieniów	2 Klony jawory, po ok. 150 lat	240 i 352	20 i 27
8 Lubieniów	2 Modrzewie, po ok. 100 lat	317 i 330	17 i 19
9 Kraśnik	4 dęby szypułkowe, po ok. 400 lat	355-368	28

Rośliny tam się znajdujące są bardzo wrażliwe na działania warunków antropogenicznych i w związku z tym musimy je chronić.

Kolejnym obszarem objętym ochroną na terenie gminy Recz jest obszar chronionego krajobrazu Choszczno-Drawno. Jest to wielkopowierzchniowa forma ochrony przyrody. W tym obszarze znajduje się 65 % powierzchni naszej gminy. Obszar chronionego krajobrazu jest to taka specyficzna forma ochrony



przyrody, której celem jest ochrona miejsc o szczególnych walorach krajobrazowych i zachowanie różnorodnych ekosystemów. Obszar ten jest niezwykle zróżnicowany pod względem form pokrycia terenu. Dominują tutaj jednak pola uprawne przeplatane lasami sosnowymi i lasami bagiennymi, np. olszowymi.

Należy też pamiętać, że formy ochrony przyrody to nie są obszary, na których nie możemy nic robić, nie możemy prowadzić żadnych inwestycji. Wręcz przeciwnie! Powinniśmy na obszarach objętych ochroną starać się wprowadzać takie inwestycje, które uwzględniałyby potrzeby przyrody. Zazwyczaj na takich terenach musimy przeprowadzić ocenę oddziaływania na środowisko, aby nie naruszyć unikatowe-

go krajobrazu i unikalnych walorów przyrodniczych.

Ponad 65 % terenu gminy Recz leży na obszarze chronionego krajobrazu. Należy zatem stwierdzić, że większość naszej gminy jest cenna pod względem krajobrazowym i przyrodniczym.

Następną formą ochrony przyrody są obszary „Natura 2000” – najmłodsza, ale największa i najbardziej znana forma. Należy podkreślić, że powstanie tej formy wzbudzało wiele konfrontacji społecznych. Obawiano się bowiem, że jeżeli zostaną wprowadzone obszary „Natura 2000”, to z gminy zostaną wyprowadzone wszystkie inwestycje. Tak się nie stało! Tak się nie dzieje! Na tych obszarach inwestycje są dopuszczalne.

W Reczu występuje obszar „Natura 2000 – Lasy Puszczy nad Drawą”. Jest to teren cenny przyrodniczo ze względu na siedliska ptaków. Gatunkami priorytetowymi, czyli takimi, dla których ten obszar powstał, są: bocian czarny, myszołów, bielik, kania ruda, muchołówka, mewka czarna.

Innym obszarem „Natura 2000” na terenie gminy Recz jest obszar „Natura 2000 – specjalne obszary ochrony”, czyli ważny ze względu na cenne siedliska roślin i zwierząt. Mamy tu obszar „Doliny Iny koło Recza” oraz mały fragment „Uroczysk Puszczy Drawskiej”. Najbardziej znanym zwierzęciem chronionym w „Dolinie Iny” jest minóg rzeczny, a spośród roślin lasy łęgowe i olszowe.



Formą ochrony przyrody, którą każdy z nas zna i wie, jak ona wygląda, są pomniki przyrody. W gminie Recz jest ich dziewięć. Jeśli chodzi natomiast o liczbę „sztuk”, to pomników jest więcej. Na przykład w Kraśniku są cztery dęby szypułkowe, które stanowią jeden pomnik. Są również dwie lipy w Lubieniowie, dwa klony, jawory. Są to potężne drzewa, które mają bardzo cenne walory przyrodnicze – są bowiem ostoją życia same w sobie.

Czy jesteśmy bogaci w przyrodę? Na tak postawione pytanie należy odpowiedzieć w następujący sposób. Jeśli według ustawy mamy 10 form ochrony przyrody, to można się zastanowić, ile ich jest na terenie naszej gminy. Nie mamy parku narodowego – trudno, ale mamy piękny rezerwat przyrody, który jest znany w całym województwie. Nie mamy parków krajobrazowych, ale mamy za to obszary chronionego krajobrazu, które pokrywają 65 % tere-

nu gminy. Mamy 3 obszary „Natury 2000”, mamy pomniki przyrody. Nie ma stanowisk dokumentacyjnych, ale mamy cztery użytki ekologiczne. Nie ma zespołów przyrodniczo-krajobrazowych, ale jesteśmy bogaci w gatunki objęte ochroną. Sześć na dziesięć! Bardzo dobry wynik. Większość gmin w Polsce mogłoby nam pozazdrościć. Tak naprawdę niewielka część terenu gminy Recz nie jest objęta ochroną. Do tych terenów należy zaliczyć okolice Sokolińca, Sicka na wzniesieniach, gdzie zawsze dominowało rolnictwo.

Z drugiej strony, gdyby spojrzeć na odległość typowej „niedzielnej wycieczki” – powiedzmy 20 km od Recza – rowerowej lub samochodowej, to okaże się, że tych form w najbliższym sąsiedztwie naszej gminy jest o wiele więcej. Dochodzi nam Drawieński Park Narodowy, mamy cztery rezerваты przyrody, park krajobrazowy (Iński Park Krajobrazowy), obszary chronionego krajobrazu, siedem obszarów „Natura 2000”, niezliczona ilość pomników przyrody (ponad 30 sztuk), zespół przyrodniczo-krajobrazowy „Ostrowie” oraz ochronę gatunkową roślin i zwierząt. Niemal wszystkie znane formy ochrony przyrody!

W okolicach Sicka i Sokolińca, gdzie nie występują typowe formy ochrony przyrody, występuje inne bogactwo. Mam na myśli lokalną przyrodę, na którą też powinniśmy zwracać uwagę – są to walory krajobrazowe, przyrodnicze, kulturalne i historyczne, estetyczno-widokowe obszary związane z rzeźbą terenu. Dzięki temu występuje tu bioróżnorodność ptaków, małych zwierząt, których występowanie podnosi walory przyrodnicze gminy pułap wyżej.

Kolejnym, przyrodniczym, lokalnym bogactwem są tereny zieleni, czyli tereny urządzone wraz z infrastrukturą (parki, zieleńce, cmentarze). Nikt nie powinien mieć wątpliwości, że Recz można nazwać miastem zieleni.

Ważną cechą gminy Recz są liczne zadrzewienia, które powinny być traktowane również jako istotny składnik przyrody. Pełnią one bowiem funkcję barier przeciwśnieżnych, przeciwwietrznych, są ostoją różnego rodzaju gatunków, które pomagają rolnikom zwalczać szkodniki. Zadrzewienia podnoszą wartości estetyczne krajobrazu, są bazą pokarmową i schronieniem dla różnego rodzaju zwierząt.

Dr inż. Elżbieta Dusza – Zwolińska

O rolnictwie, jego historii, rozwoju i przyszłości na terenie gminy Recz - rozmowa z Panem Stanisławem Barną

Proszę powiedzieć, jak daleko sięgają Pana wspomnienia związane z Reczem?

Praktycznie odkąd się urodziłem. Chodziłem tu do szkoły. Recz zawsze dla mnie istniał. Tutaj się wychowałem. Pamiętam go od kolebki. Przez te lata wiele się zmieniło, powstała nowa szkoła, hala sportowa, ale przez ten czas wiele zaniknęło, na przykład handel obwoźny, a teraz chcemy, aby wrócił. My mieliśmy to już dawno.

Recz to bardzo fajne, małe miasteczko. Wszyscy się tu znamy.

Jakie jest Pana najprzyjemniejsze wspomnienie związane z naszą Gminą z lat Pana dzieciństwa i młodości?

Myślę, że moje lata szkolne są wspomniane przeze mnie chyba najlepiej [śmiech]. Przyjeżdżałem tu do kina „Zorza”. Zbieraliśmy się całą grupą i jechaliśmy do Recza rowerami lub szliśmy pieszo.

A jakie są najciekawsze miejsca i wspomnienia związane z Żeliszewem?

Za moich czasów nie było telefonów, nie było komputerów. Spotykając się, sami sobie robiliśmy boisko, rozgrywaliśmy mecze, zawsze mieliśmy mnóstwo zabaw. Teraz dzieci nie bawią się tak jak my kiedyś. Zabawki robiliśmy z drzewa, to nie było tak, że szło się do sklepu i kupowało pistolecik czy



miecz. My robiliśmy to sami. Były ciężkie czasy.

Mamy piękne jezioro. Kiedyś była tu szkoła, do której chodziły moje siostry. Kilka razy, jak rodzice nie mieli czasu, to brały mnie ze sobą.

Kościółek mamy piękny. Z Żeliszewa wywodzą się księża Wejmanowie.

Jakie są ciekawe miejsca w Reczu?

Myślę, że można tutaj wspomnieć o Grądowym Zbocz. Poza tym samo usytu-

owanie Recza jest dosyć ciekawe. Z każdej strony widać go z góry.

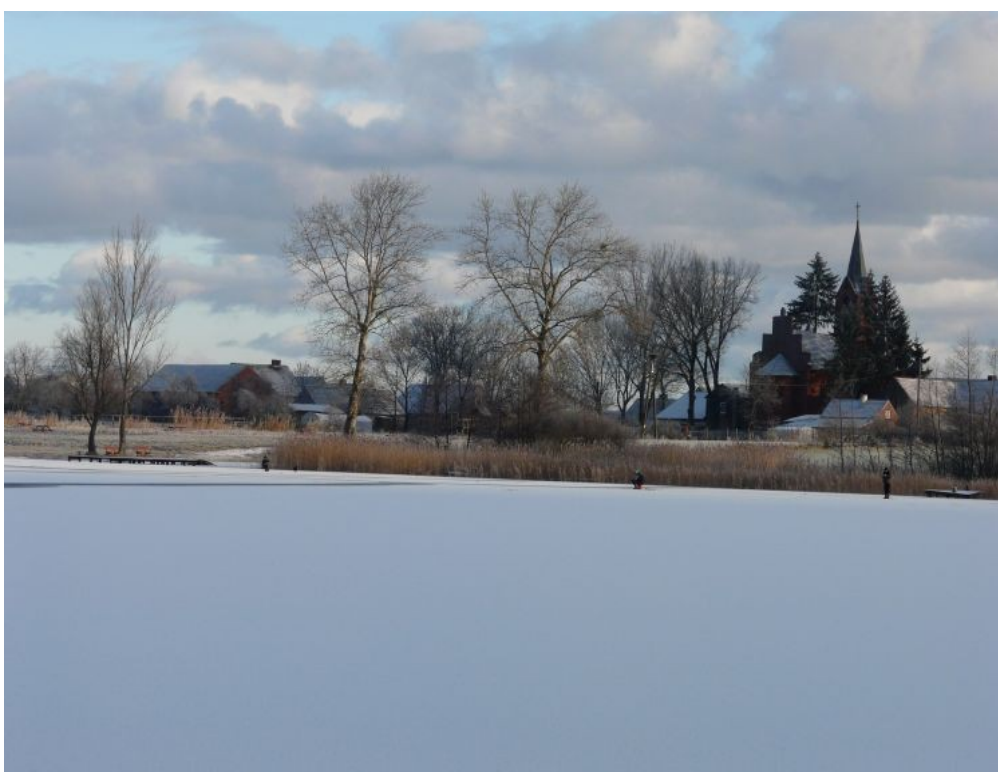
Proszę powiedzieć, czym się Pan zajmuje i czy jest to Pana pasja?

Zajmuję się rolnictwem. Moi rodzice prowadzili gospodarstwo 10 hektarowe. Od kiedy się urodziłem, wiedziałem, że będę rolnikiem [śmiech]. Chciałem naśladować mojego tatę i wzorować się na nim. Podziwiałem jego pracę, jego wytrwałość w dążeniu do celu, jego trud. Do teraz jest moim autorytetem. Moja praca jest ciężka. Warunki pogodowe dyktują nam jej przebieg, można to nazwać

warsztatem pod chmurką. Trzeba wszystko planować.

Jak wyglądało rolnictwo w Gminie Recz, gdy rozpoczął Pan swoją działalność?

Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że rolnictwo na tym terenie kiedyś opierało się głównie na ekologii. W mojej wiosce każdy miał małe gospodarstwo. Wszystko było swojskie. W Reczu była mleczarnia, masarnia, prężnie działający jeszcze Remor, szwalnia Sizel. Ludzie mieli bardzo dużo możliwości pracy. W szkole jeździliśmy na wykopki, mieliśmy wycieczki do wcześniej wspomnianych zakładów. Widzieliśmy, jak produkuje się masło, sery. Wszystko było zdrowe. Teraz chcemy do tego wrócić. Moim zdaniem zupełnie bez potrzeby od tego odbiegliśmy. Ciężko jest nam teraz prowadzić duże gospodarstwo bez używania chemii, nawozów, ulepszcaczy. Wszystkie zakłady pozamykano, ponieważ nie spełniały norm unijnych. Ludzie stracili pracę i Recz stracił wiele dotychczasowych dochodów.



Rodzice na pewno dużo opowiadali Panu o początkach rolnictwa w naszej Gminie. Czy mógłby Pan powiedzieć, jak to się rozwijało?

Ja to nawet pamiętam! Jak byłem mały, to razem z tatą przyjeżdżaliśmy do GS – u i sprzedawaliśmy nasze plony [śmiech]. Obok sklepu Pana Czamarczana był rynek, na którym sprze-

dawano bydło, konie, świnie. Później wybudowano tu bloki. W Wielgoszczy był wielki magazyn zrobiony pod skup zboża. Kiedyś, żeby sprzedać lub kupić, trzeba było samemu pojechać gdzieś. Dzisiaj przyjeżdżają tiry, zamawia się przez Internet. Wszystko jest nam dostarczane na podwórko. Kiedyś trzeba było włożyć więcej pracy ludzkich rąk. Dzisiaj wystarczy kierować maszynami.

Ojciec mi opowiadał, że kiedyś powstawały spółdzielnie, PGR. Wydaje mi się, że Żeliszewo jest jedną z naprawdę niewielu miejscowości na terenie Gminy Recz, gdzie nie stworzono ani spółdzielni, ani PGR – u. Tu utrzymały się gospodarstwa indywidualne. Sąsiedzi kilka razy mieli zamysł stworzenia czegoś takiego w naszej wiosce, jednak nie mogli się dogadać [śmiech]. Żeliszewo nawet ze względu na zabudowę różni się od innych miejscowości w okolicy.

Co było kiedyś największym problemem rolników?

Powiem tak ... Jak ja zacząłem prowadzić gospodarstwo, to opłacalność w rolnictwie była bardzo słaba. Praca w rolnictwie wymagała bardzo dużego wysiłku. Były takie prace odrobkowe, czyli sąsiad sąsiadowi pomagał. To funkcjonowało bardzo sprawnie i dobrze to wspominam. Teraz sąsiedzi nie współpracują ze sobą tak dobrze jak wtedy. Wtedy odbywały się wspólne „pierzaki”, czyli kobiety oskubywały gęsi, kaczki ... à propos „pierzaków”, to pamiętam, jak młodzi chłopcy, chcąc trochę poprozrabiać i zwrócić uwagę dziewczyn, wpuszczali do pomieszczenia parę gołębi. Wszystko było w tych piórach, a biedna pani gospodyni musiała to sprzątać [śmiech].

*Kiedyś trudniej było dostać jakiś towar, teraz wchodzimy do sklepu i możemy kupić to, co chcemy. Kiedyś tak nie było, były puste półki. Na większość produktów było trzeba mieć kartki. Wyda-
je mi się, że lata 80. były naprawdę trudne dla rolników. Pamiętam godzinę policyjną, wtedy jeszcze milicyjną [śmiech]. Po godzinie 22 nie można było wychodzić z domu. Pamiętam stan wojenny. Podróżowało się przede wszystkim pociągami i autobusami. Aby przejechać 50 km było trzeba poświęcić cały dzień.*

A jak zapamiętał Pan przemiany rolnictwa w latach 90.?

Oj, teraz poszliśmy bardzo do przodu w rolnictwie. Jednak mając już to doświadczenie, co mam, uważam, że nie wszystko, co zostało wtedy wprowadzone, było korzystne. Jestem człowiekiem, który lubi nowości. Zawsze staram się iść z duchem czasu i nie zostawać w tyle. Po wejściu do Unii Europejskiej polscy rolnicy mieli zdecydowanie gorzej niż np. Niemiec. Mój tata pracował poza rolnictwem, w gorzelni, aby trochę dorobić.

Jakie są Pana plany związane z Pana pracą?

Myślę, że to, co chciałem, już mam. Należę do osób, które idą z duchem czasu. Bardzo lubię nowości. Na razie nie planuję nic więcej. Na pewno nie wrócę do hodowli trzody chlewnej, którą kiedyś miałem. To było nieopłacalne. W 2005 roku po rodzicach odziedziczyłem produkcję krów, ale one też nie wносиły zysków.

Jakie może Pan wymienić osoby związane z gospodarstwem lub podobną działalnością, albo w ogóle, które warto zapamiętać?

Zdecydowanie mogę powiedzieć tutaj o byłym dyrektorze naszej szkoły Panu Długoszu. Był moim autorytetem. Kolejną postacią jest Pani Marysia Wojciechowska. Uważam, że jest to taki nauczyciel z powołania.

W branży rolniczej ciężko jest mi znaleźć podobne osoby. Postaci związane z Żeliszewem to na pewno obaj księża Wejmanowie. Na początku ich kariery służyłem w kościele. Moja mama od zawsze przeczuwała, że Henryk zostanie księdzem, ale nie spodziewała się, że aż biskupem [śmiech]. Pierwszą swoją mszę miał u nas w Żeliszewie.

Jak porównałby Pan rolnictwo w Reczu kiedyś a dzisiaj?

To jest nie do porównania, jakbyśmy znaleźli się w innym świecie [śmiech]. Kiedyś był konik,

teraz weździe maszyna. To jest coś niesamowitego, jak rozwinęliśmy się na przestrzeni tych lat. Dzisiaj ciągnik potrafi sam jechać, wystarczy odpowiednio ustawić maszynę. Technika w rolnictwie poszła bardzo, bardzo do przodu. Pamiętam, jak się baliśmy, gdy Polska miała wejść do Unii. Każdy mówił, że jesteśmy zbyt biedni, a jednak poradziliśmy sobie. Teraz większość rzeczy robią za nas maszyny, mimo to mamy coraz mniej czasu, to taki paradoks [śmiech]. Zostaliśmy wpędzeni w łańcuch. Jeśli mamy drogą maszynę, to trzeba posiadać więcej ziemi, aby zarabiała na siebie. W ciągu godziny dobry kombajn potrafi skosić około 10 ha. Kiedyś kombajnem takim jak bizon w ciągu dnia można było skosić 5-7 ha.

Proszę powiedzieć nam jakie relacje tworzą się między rolnikami a innymi mieszkańcami Rezcza i okolic.

Myślę, że mogę to porównać do szkoły. Jest lepszy i gorszy kolega. Ktoś kogoś lubi bardziej, a kogoś innego mniej. Mamy teraz wiele szkoleń. Poznajemy nowe osoby. Wymieniamy się doświadczeniami. Zawsze poznamy kilka ciekawostek, poartujemy. Każdy trochę ponarzeka, trochę pochwali się [śmiech]. Poprzez różne wydarzenia spotykamy się z mieszkańcami Gminy. Cieszy mnie powrót Dożynek. Ja też za bardzo nie mam czasu, by zawsze spotykać się z innymi, bo są dni, kiedy wychodzę z domu na pole o godzinie 4:00, a wracam po 22:00. Dlatego jak tylko mogę, to spędzam chwile z moją rodziną. Wracając do tematu, uważam, że kiedyś relacje między rolnikami były silniejsze i nierzadko rolnicy organizowali różne wydarzenia, żeby po prostu spędzić ze sobą czas, pośmiać się, porozmawiać, ale też pomóc sobie wzajemnie.

Czy mógłby Pan wymienić kilka sukcesów związanych z Pana pracą?

Największym moim sukcesem jest moja produkcja. Wkładam w to, co robię, wiele trudu i cieszę się z każdego plonu. Jak przypominam sobie czasy, gdy zaczynałem, te 10 ha, to towarzyszy mi pewna satysfakcja. Teraz mam 160 ha. Jestem z siebie dumny. Cieszy mnie to, że jestem w miarę postrzeganym rolnikiem. Nienajlepszym, nienajgorszym [śmiech]. Samo to, że potrafię się utrzymać na tym ciężkim i niepewnym rynku, jest już, moim zdaniem, niezłym osiągnięciem.



Kilka lat temu pełnił Pan funkcję Radnego Rady Miejskiej. Czy mógłby Pan trochę o tym opowiedzieć?

To była taka moja mała przygoda [śmiech]. To było dosyć dawno. Początek XXI w. Jak zostałem radnym, to nie za bardzo wiedziałem, co i jak. To, że zdobyłem takie stanowisko, to też jakieś osiągnięcie [śmiech]. Byłem zwykłym rolnikiem, a ludzie mnie wybrali, obdarzyli mnie zaufaniem. No i minęła jedna kadencja, potem druga. Wiele chciałem zrobić. Niestety, nie udało mi się wszystkiego wykonać, więc doszedłem do wniosku, że lepiej zwolnić to miejsce. A z tego, co udało mi się wykonać, byłem zadowolony.

Pełnił Pan funkcję Starosty Dożynek. Czy było to dla Pana ważne i nobilitujące przeżycie? Ja-

ką funkcję pełni Starosta Dożynek podczas ich trwania?

Odbieram to jako bardzo duże wyróżnienie. Jestem wybrany z grona wszystkich rolników na terenie Recza. Myślę, że jest to bardzo nobilitujące. W trakcie Dożynek jestem przedstawicielem wszystkich rolników. Jest to bardzo odpowiedzialna funkcja. Gdy jest dobry rok, to bardzo miło jest to uczcić, podziękować za dary (jak mnie nauczono) od Boga. Zawsze jest to takie miłe uczucie, gdy jesteś wybrany spośród wszystkich rolników. Jedne Dożynki pamiętam, że były zorganizowane nad jeziorem w Żeliszewie. Kilka lat temu byłem Starostą i na kolejny rok znowu mnie poproszono, jednak odmówiłem. Trzeba też zauważyć innych rolników. Do obowiązków Gospodarza Dożynek należy np. bochen chleba. Dzielimy się nim razem z mieszkańcami Gminy Recz. Wszyscy możemy się zebrać w jednym miejscu i cieszyć się zebranymi plonami.

Co by chciał Pan zmienić w rolnictwie w Polsce?

W rolnictwie trzeba jeszcze naprawdę dużo zmian. Mamy takie coś jak prawo łowieckie, które nas naprawdę boli. Chodzi tutaj o ubezpieczenia. Sami musimy sobie oszacować szkodę, a moim zdaniem nie powinno tak być. Według mnie powinien być ktoś, kto nie jest związany z tą działalnością i on oszacowałby szkodę, tak jak jest np. w ubezpieczeniach samochodowych. Zawsze mamy jakieś problemy z kołem łowieckim. Kolejną sprawą jest to, że chciałbym być traktowany tak samo jak rolnik w Niemczech czy we Francji. Powinniśmy mieć prawo do takich samych dopłat. Holender, Niemiec czy Francuz mają o 50 % więcej dopłat niż my i według mnie jest to bardzo niesprawiedliwe. Aktualny rząd obiecał, że będzie dążył do wyrównania tego, ale myślę, że tak się nie stanie. Wiele razy obiecywali nam to, a jednak nic w tym kierunku nie zrobiono. Byłoby jeszcze wiele innych spraw, ale o tym już nie będę mówił [śmiech]. Są też inne problemy rolników np. opłacalność. Ciężko jest nam konkurować z rolnikami z innych państw, jeżeli ich dopłaty są o 50% wyższe.

Proszę powiedzieć, jak zmieniła się nasza Gmina odkąd Pan tu mieszka.

Oj, bardzo mocno. Wiele się zmieniło w pozytywnym kierunku, np. szkoła. Wiele też zmieniło się negatywnie, np. zniknęło wiele zakładów pracy. Weźmy na przykład Remor. Kilkanaście lat temu był potężną fabryką, a dzisiaj pracuje tam garstka ludzi za śmieszne pieniądze. Pamiętam do dzisiaj, jak około godziny 15 – 16 tłumy ludzi wychodziły z budynków Remoru. Biurowiec był bardzo duży. Pracowały tam setki osób. Teraz po tym prawie nic nie zostało. Recz i wioski okoliczne starzeją się bardzo szybko. Młodzi ludzie wyjeżdżają, bo tu nie mają pracy i możliwości rozwoju. Młodzież stąd ucieka. W naszej okolicy jest jeden z większych wskaźników bezrobocia. Brakuje fachowców, nie ma szkół, które kształciłyby ludzi bezpośrednio w kierunku zawodowym. Słyszałem, że mają powstać jakieś szkoły branżowe. Mam nadzieję, że to coś zmieni. Jeśli chodzi bardziej o infrastrukturę, to jak najbardziej zmiany na plus.

Dziękujemy.

Rozmawiały: Angelika Sikora i Hanna Szremska

**O p i e r w s z y c h l a t a c h p o w o j e n n y c h n a
w s i w S u l i b o r k u r o z m o w a z P a n e m
J ó z e f e m K o ś c i u k i e w i c z e m**

Na początek naszej rozmowy proszę powiedzieć czy Pana rodzice byli rolnikami ?

Ojciec nie był rolnikiem. Pracował w nadleśnictwie i tam miał taką pracę, że najpierw był podleśniczym, później pracował w nadleśnictwie, a następnie pełnił funkcje administracyjne. Wtedy lasy były zaniedbane. Wiem, że wypłacał wynagrodzenia dla tych, którzy pracowali w lasach, więc był też chyba także kasjerem albo księgowym. Pamiętam, że latem wyjeżdżał na długie miesiące, bo było bardzo dużo pracy w tych lasach - puszcza, dzicz ... było co robić. Mój ojciec robił plany, projekty ... tam pracował cały czas do wojny, a w czasie wojny ... to wszystko zastało zmarnowane.



Proszę powiedzieć, jak Pan znalazł się tutaj na tych terenach, w okolicach Recza? Kiedy Pan tutaj przybył? Co Pan pamięta z tamtych czasów?

Ja pamiętam bardzo dobrze całą podróż. My przybyliśmy ... dokładnego dnia, daty, w tej chwili ja nie pamiętam, ale wiem, że przyjechaliśmy we wrześniu 1946 roku - tu na Suliborek i wtedy moi rodzice wy-

kupili w Suliborku mieszkanie. Teraz od dziesięciu lat ja jestem w Reczu, a tak to byłem na Suliborku cały czas.

Rozumiem, że z rodzicami Pan tutaj przyjechał?

Tak. Miałem po prostu taką sytuację. Ojciec już nigdzie nie pracował, no to nie było co robić, bo nie było ani światła, ani niczego ... To było okropne ... Rodzice mówili, że na zachodzie może coś się zmieni ... Zacząłem tutaj pracować jako rolnik. Nie było wyjścia ... Ja byłem takim spostrzegawczym, byстрыm dość człowiekiem, więc prowadzenie gospodarstwa szło mi chyba dobrze. Już w 1962 pozwoliłem sobie kupić traktor ... nowy! W ten czas tu w Reczu, było to coś innego. Raczej dobrze o wszystkim myślałem. Wileńszczyzna, z której pochodzę, była bardzo zacofana. Tam był ... jakby to powiedzieć ... kontrakt ludzi: i Białorusini, Polacy, Rusini, jacyś ludzie przywiezieni z Syberii. Kiedyś tam były wsie i to nawet muzulmańskie. Od mojej wioski w odległości gdzieś 20 km podobno były meczety. To była mieszanka narodowości. I było bardzo biednie. Ziemie ubogie – uprawiano tam żyto, owies, jęczmień, len ... to były podstawowe uprawy, a więcej nic! Przepraszam, że ja odbiegam od tematu, ale teraz ludzie mają naprawdę rajskie życie, patrząc na czasy

powojenne. U nas na Wileńszczyźnie było tak, że kobieta wstawały o 2 w nocy i za kotowrotek sprzęgły, żeby naprząć dużo nici. Warsztat tkacki prawie był w każdym domu: koszule, spodnie, ubrania, wszystko robiło się samodzielnie.... Ile kobiety miały wtedy pracy! To po prostu była tyrania okropna. A dzisiaj, jak zobaczę ... wszystko się zmieniło, nawet przyroda, niestety.

Przyroda na lepsze się zmieniła, czy na gorsze według Pana?

To zależy! Bo wie pani ... Ja byłem urodzony tam na Wileńszczyźnie. Tam były okropne opady śniegu. Śniegi tak wielkie, że jak do szkoły chodziłem (4 km), to takie były zasy, że jak do sufitu śnieg ... Chodziło się po zamrożonym śniegu. Jak się załamało i ktoś wpadł, to trzeba było długo tam siedzieć, aż dotarły inne osoby ze sznurami i drabinami, bo inaczej się wyjść z zasy nie dało. A jak był mróz w czasie wojny, to jeżeli się wzięło kubek wody na podwórku tak do góry, to leciał lód z powrotem. W czasie wojny bywało, że trzy dni było minus 40 kilka stopni. Ale tam też się już zmieniło: spotkałem chyba 2 lata temu znajomego, który przyjechał z Wileńszczyzny. Mówi, że tam też nie ma już śniegu

Ile Pan miał lat jak tutaj przybył ?

Szesnaście. Ja jestem z rocznika 1928. Oczywiście byłem młody.

Jak Pan tutaj przybył, co Pan zaczął robić ? Czym Pan się zajmował?

My przywieźliśmy ze sobą klacz żrebną, dwie krowy, taki jakiś sprzęt domowy. Przywieźliśmy wszystko, co się dało. Wszyscy, co tu przyjechali na Suliborek, bo z jednej miejscowości przyjechaliśmy przeważnie, przywozili podobne rzeczy. Zmuszony byłem od razu zająć się gospodarstwem - no i tak zostało, jak zostało. W ten czas zaczęło się to wszystko rozwijać.

Ojca nie było. Przyjechaliśmy sami, bo ojciec pracował. Jak przyszli sowioci, to on bardzo był nie w zgodzie z tymi Ruskimi, ale nie chcę tego rozciągać ... Był w Wilnie jakiś czas i przyjechał



późniejszym transportem z Wilna. Był w Białymstoku jakiś czas i potem do nas dojechał.

Tak zostałem rolnikiem. Ja przed wojną skończyłem tylko cztery klasy szkoły, chodziłem do szkoły rosyjskiej. Chyba przez niecałe dwa lata ... i nawet do litewskiej jeszcze pół roku. A tu wreszcie siedem klas jakoś dorobiłem i to wszystko.... Tylko, że ja postuchalem mojego nauczyciela. On mówił do nas tak: „dzieci, gdziekolwiek będziecie, to bardzo dużo czytajcie, czytajcie jak najwięcej”. Ja masę książek w życiu przeczytałem. A było nieraz tak, już w Suliborku, że gdy dostałem książkę od kogoś, to nie zasnąłem, stale czytałem, aż skończę, takim byłem miłośnikiem czytania. Ja inaczej na wszystko patrzę ... Proszę sobie wyobrazić, że człowiek przyjechał ze wschodu, gdzie tylko był pług, brona, sierp i kosa.

A tu jakieś maszyny poniemieckie też były. Na początku nie było wiadomo, jak tego używać, ale za dwa - trzy lata ja już potrafiłem obchodzić się z tą maszyną, z pługiem. Żeby człowiek miał chociaż szkołę w tym kierunku, to może byłbym bardzo dobry fachowiec. Chyba miałem taką smykatkę, bo nauki żadnej nie miałem w tym kierunku. Kupiłem traktor, pierwszy raz w życiu go rozbierałem, nawet sąsiad z Suliborka wtedy nie mógł uwierzyć, że samemu można coś takiego poskładać.

Proszę powiedzieć, bo tak słyszałam, czy Pan pracował w młynie w Rybakach?

Nie, nie pracowałem, tylko często odwiedzałem tam starego znajomego. Byłem po prostu częstym gościem. Bo wie Pani - wieczorem nie było co robić, to szedłem tam. Z nim się dobrze rozmawiało, to był człowiek mądry...

A co się stało z Pana gospodarstwem. Jest tam teraz tylko dom z ogródkiem?

Proszę Pani! Ziemię, którą miałem w Suliborku oddałem, sprzedałem. Ja miałem w pewnym momencie ponad 8 hektarów, to dla mnie było za dużo, bo ja nie miałem z kim robić. Byłem sam, rodzice starzy, to było wszystko ciężko...

Dobrze Pan sobie radził na gospodarstwie?

No oczywiście, radziłem sobie bardzo dobrze. Cały czas miałem wysokie plony, dużą sprzedaż i tak dalej. Co można więcej powiedzieć?

Jakie były największe problemy, trudności w tamtych czasach ?

Trudności były różne ... były problemy. Rolnik był politycznie do niczego i w tym były największe trudności. Sam byłem bardzo często wzywany do różnych urzędów i tak dalej ... trzeba było uważać, co się mówi.

Wiem, że oprócz uprawiania ziemi zajmował się Pan również myślistwem. Proszę o tym opowiedzieć.

Tak, bo to było rodzinne. Ojciec był myśliwym, pradziadek - pamiętam - też był myśliwym, ojca ojciec też ... On to miał jeszcze taką strzelbę tzw. pojedynkę, co się sypało z lufy proch z góry i tak dalej. Tak zostało.

Odkąd Pan tutaj przybył, jak tutaj zamieszkał, co Pan najmilej wspomina, jakie wydarzenia, może jakieś osoby, które chciałby Pan wspomnieć?

Wie Pani, ciężko w tej chwili powiedzieć coś takiego, żeby mnie coś tak utkwilo w pamięci ... Chyba nie było czegoś takiego, żeby coś się wydarzyło



tak ważnego, żeby naprawdę pamiętać.

A jak był czas wolny, to co Pan najbardziej lubił robić ?

Grałem w brydża sportowego i lubiłem grać w szachy. Byłem dobrym szachistą. Razem z Panem Tuminem jeździliśmy na różne turnieje, nawet międzynarodowe. Wszędzie nas było pełno. Nawet gdzieś zdjęcia z tego mam ... W szachy dobrze grałem, ale nigdy zawodowo. Ja lubiłem wieczorami posiedzieć, pograć, porozmawiać. Całymi dniami siedzę samotnie, a jak pogoda zła to można zwaśniować. Trochę za tymi rozmowami tęsknię.

Jeśli chodzi o osoby, o których warto pamiętać, to kogo by Pan wymienił?

Pamiętam swojego chrzestnego, który przyjechał ze mną tu na Suliborek. Mieszkał w Suliborku i tu zmarł. Był analfabetą – nie umiał pisać, ale potrafił wszystko zrobić. W czasie wojny, gdy coś się popsuło, on potrafił to zrobić, a jak zrobił - naprawdę było cudowne. Gdyby jemu dać szkołę, to myślę, że byłby jakimś konstruktorem na cały kraj. To był człowiek, którego zawsze będę wspominał. On miał sto i pół roku jak zmarł. Był człowiekiem wspaniałym, rzetelnym, mądrym życiowo. Pamiętam jeszcze sołtysa Jana Ignatowicza. On był dobrym gospodarzem. Z sąsiadami zawsze bardzo dobrze żyłem. Co jeszcze mam mówić... Nic takiego się nie wydarzało, żeby sobie szczególnie przypomnieć. Pamięć już nie ta...

Dziękujemy za rozmowę.

Ja także dziękuję

Rozmawiały: Monika Olender – Zań, Aleksandra Gryczewska

O rolnictwie, jego historii, rozwoju i przyszłości na terenie gminy Recz - rozmowa z Panem Wiesławem Majką

Proszę opowiedzieć o swoich pierwszych latach w Reczu.

Urodziłem się w Reczu. Moja rodzina przybyła tu w roku 1952. Ojciec otrzymał od ZBoWiD-u – jako żołnierz, osadnik wojskowy – ziemię. Przydzielono mu 7 ha oraz dom. Ojciec przyjechał do Polski w roku 1947, służył bowiem w wojskach alianckich w Anglii. Przyjechał najpierw do Legnicy. Potem wyjechał na Pomorze Gdańskie w okolice Tczewa, następnie do Szczecina, gdzie poznał moją mamę, która pracowała u swojego ojca, a mojego dziadka, w cukierni.

Dziadek miał również młyn koło Pomienia. Jakiś czas prowadzili go z ojcem, ale potem zrezygnowali. Później ojciec otrzymał ziemię i pół domu na ulicy tylnej w Reczu, drugą połowę odkupił od sąsiada.

Co się stało z młynem? Czy coś zostało?

Nie. Zostało zrównane. Kiedyś było tam tylko koło młyńskie, które produkowało prąd na tzw. dynamo. Właściwie prowadził to mój dziadek, a ojciec „furmanił” – razem z braćmi wozili końmi węgiel. Ojciec zrezygnował z tej działalności po dwóch latach z powodu wyso-



kości podatków, kradzieży dokonywanych przez różne bandy oraz ze względu na konflikt z ówczesnymi władzami z UB, ponieważ był oskarżany o szpiegostwo, bo służył w armii angielskiej. Z resztą, mój dziadek też był o to oskarżany i został wtrącony z tego powodu do więzienia.

Ja się urodziłem w 1953 roku w małym domku koło parku (tam, gdzie teraz mieszka Pani Kubacka) w Reczu, więc

od urodzenia jestem reczaninem.

Proszę powiedzieć, jak wtedy wyglądało Pana dzieciństwo? Czym się zajmowaliście jako młodzi ludzie?

Dzieciństwo ... Jako młody chłopiec zajmowałem się najpierw pilnowaniem mojego młodszego brata, ale też z innymi dziećmi bawiliśmy się w „rodziny” w parku, który wtedy był pełen zieleni. Z kolegami często bawiliśmy się też na gruzach, bo wtedy cała ulica Śródkowa to było jedno wielkie gruzowisko. Na przykład wydeptaną wśród gruzów ścieżką chodziło się do szkoły. Te gruzy dopiero później - głównie rolnicy - wywozili i to najczęściej zimą, na przyczepach zaprzęgniętych do koni. Właściwie odgruzowywaniem miasta zajmowali się wtedy przede wszystkim rolnicy, m.in. dlatego że mogli sobie dorobić, bo z 7 ha ziemi nie można było wyżyć, nie dało rady utrzymać całego gospodarstwa. Za Gomułki przecież rolnicy część swojej pracy w postaci mięsa czy wełny musieli też oddawać.

To znaczy, że wszyscy rolnicy zajmowali się odgruzowywaniem?

Właściwie tak. Rolnictwem zajmowali się wtedy np. pan Urwentowicz, pan Pluta, pan Narecki, pan Orlikowski. Oni też odgruzowywali to miasto! Recz był przecież aż w 70 % zniszczony. Ktoś to musiał zrobić.

Późniejsze dzieciństwo to już praca. W rolnictwie całe dzieciństwo podporządkowane było temu, co trzeba zrobić

na gospodarstwie. A to wykopki, a to żniwa... Przed szkołą ojciec budził mnie o 4.30 i kazał wypasać krowy na łące. Nie ukrywam, że często tuż przed pójściem do szkoły dosypanyłem tam na łąkach. Czasem dyrektor Długosz mnie budził i pytał: „A Ty na którą masz do szkoły?”. Ja wtedy mówiłem, że jak skończę, to przyjdę do szkoły. Często się spóźniałem.

Ojciec miał trochę zmechanizowaną gospodarkę – od 1957 roku miał ciągnik Ursus C45. Jak ojciec jechał na pole orać, to mnie zawsze zabierał ze sobą.

Czyli praca determinowała całe dzieciństwo!

No, tak! Praca była najważniejsza i trzeba było pomagać. Ale wtedy było tak, że jeden drugiemu pomagał. Jak była akcja wykopki, to wszyscy rolnicy kopali u jednego, a na drugi dzień – też wszyscy – u drugiego. Natomiast wieczorami schodzili się i grali w karty, rozmawiali, spędzali czas razem. Telewizji wtedy nie było. A my jako dzieci hasaliśmy sobie do późna albo słuchaliśmy tego, co starsi opowiadali. Kiedyś to ludzie potrafili tak ciekawie opowiadać bajki, że dzieciom uszy i włosy stawały dęba!

Relacje między rolnikami były wtedy bardziej ...

... przyjacielskie. Na przykład jak były „omłoty” to do maszyny trzeba było 14 ludzi i wtedy wszyscy się pojawiali. Nie było problemu, że pracowało się dla kogoś. Czasem rolnicy byli wynajmowani do prac na kolei czy na drodze. Dzięki temu też trochę więcej zarabiali. Ale również oni wynajmowali innych do pracy na polu, np. przy ręcznym rozrzucaniu obornika, w załadunku, itp.

Żniwa wyglądały fajnie, gdy można było jeździć ciągnikiem, a jak byłem w 6 czy 7 klasie, to już wtedy prowadziłem ciągnik. Była to jednak ciężka praca. Rano – o 4.00 – ojciec budził nas i trzeba było przygotować maszynę. Ojciec kupił wtedy snopowiązałkę, więc był już jakiś postęp, ale też i wczesna praca.

Kosiliśmy często do 22.00 - 23.00, dopóki się dało. My, jako dzieci, stawialiśmy snopki ze słomy – ja, moja siostra, brat oraz nasi koledzy i koleżanki. Była to bardzo ciężka praca, zwłaszcza dla młodych ludzi. Fajnie było jak mama przyjeżdżała na pole i przywoziła nam jedzenie. Mogliśmy wtedy trochę odpocząć. Wtedy też



jeździliśmy na zarobek – mieliśmy więc taki pierwszy własny zarobiony grosz. Ten zarobek polegał na koszeniu dla innych rolników.

Niby każdy miał swoje, ale dla Was często była to wspólna praca.

Tak. Nie było problemu, żeby jeden drugiemu pomóc.

A jakie problemy rolników, które wtedy się pojawiały, może Pan wymienić?

Pamiętam jak musiałem wozić pszenicę z Grabowca do Recza wozem wraz z załadunkiem i rozładunkiem – dziennie pięć takich kursów. Wszystko ręcznie. Bąble od tego na rękach miałem. Nie było łatwo.

A więc największym problemem była ręczna praca.

No tak. Praca ręczna, brak mechanizacji. Rolników nie było stać na maszyny. Kto jakąś miał, to najczęściej z tzw. przydziału polskiego. Często były to ponemieckie maszyny. Jeden miał tzw. „garściówkę”, drugi kosiarkę, nie każdy miał to, co było na daną chwilę potrzebne. Jak łąkę trzeba było skosić, to używano się ręcznych kos. Jako czternastolatek przez 2-3 godziny bez przerwy kosilem tę łąkę. I nie mogłem odmówić. Ojciec bardzo rygorystycznie podchodził do obowiązków. Trzeba pomóc i już. Czasem trzeba było ręcznie wiązać snopki z siana, a tam przecież oset, pokrzywy... Wyboru nie było.

Proszę powiedzieć, czy ma Pan jakieś szczególnie miłe wspomnienie z dzieciństwa? Czy praca na roli kojarzy się Panu pozytywnie?

Raczej negatywnie. Z tego względu, że to była naprawdę ciężka praca. Zwłaszcza dla młodego człowieka, młodego dziecka, który też miał inne zainteresowania czy potrzeby. Szczególnie miłych wspomnień nie pamiętam.

Miłym wspomnieniem z dzieciństwa, ale nie w związku z pracą na polu, były mecze piłkarskie. Spokojniej od pracy było zimą i wtedy jeździło się też na łyżwach. Polewaliśmy z kolegami drogę od kościoła w dół i na tej ślizgawce się jeździło. Trochę wspomnień mam również z harcerstwa – mieliśmy alerty, organizowaliśmy podchody. Pamiętam, że druhami byli wtedy nauczyciele: Pan Sochacki, Pani Kuś. Pamiętam pierwszy biwak w Żółwinie: budowę szałasów, spanie na kocach. Dwa razy byłem też na obozie harcerskim – raz w Drawnie i raz w Ińsku. Harcerstwo miło wspominać.

Jakie ciekawe miejsca Pan pamięta? Takie, o których nikt dziś nie mówi, a warto je przypomnieć?

Dla nas Baszta Drawieńska była zawsze otwarta. Często wchodziliśmy na samą wieżę i oglądaliśmy cały Recz i okolice. Bawiliśmy się z resztą wszędzie. Robiliśmy trochę psikusów – jak to młodzież. Moimi kolegami byli wtedy Orlikowscy, Imgrontowie, Brzozowscy – to była taka nasza paczka, zawsze razem się bawiliśmy. Hasaliśmy po drzewach, graliśmy w palanta, w „klipę”, w chowanego, w podchody po całym mieście.

A jakie postaci, osoby, o których warto wspomnieć może Pan wymienić? Chodzi o ludzi, którzy mieli wpływ na Pana lub mieli jakiś pozytywny związek z rolnictwem.

Niestety, nie przypominam sobie takich osób, nie chcę zmyślać. Trochę taką osobą był mój ojciec, który wychowywał nas konsekwentnie, z zasadami, bardzo pilnował, żebyśmy mieli zawsze odrobione lekcje, nawet mimo tego, że w ciągu dnia pracowaliśmy. Ojciec wychowywał na surowo, twardą ręką.

Chciałbym jeszcze wrócić do relacji, które tworzyły się między rolnikami. Mówił Pan, że były przyjacielskie. Jak to wygląda teraz?

Powiem tak. Wtedy relacje były naprawdę ścisłe. Oprócz wspólnej pracy były też wspólne grzybobrania, chodzenie na jagody. Wszyscy, na przyczepie, jechaliśmy razem do lasu i tam spędzaliśmy wspólnie trochę czasu.

Dzisiaj nie ma takich relacji. Po prostu. Po pierwsze telewizja odebrała odwiedziny, przyjaźnie. Czasem nie chce się wychodzić z domu, bo to mecz, bo to skoki, jakiś ciekawy film.

Pani Elżbieta Majka: Ale pamiętam, że jak mieszkaliśmy na Tylnej, to te związki były jeszcze trwałe, często się spotykaliśmy z innymi.

Wiesław Majka: Może dlatego, że mieszkaliśmy w mieście, w centrum. Wtedy spotkać się było łatwo, więcej osób się widziało, ludzi się znało. Po przeprowadzce jest już trochę inaczej. Człowiek, niestety, stał się bardziej wygodny.

A ile lat Pan pracuje na roli?

Właściwie od małego. W czasie szkoły, w technikum rolniczym, byłem na stażu w GS – ie. Pracowałem w zaopatrzeniu. Ale praca była mało płatna, a dla młodego człowieka pieniądze były ważne, bo to zabawa, bo to dancing – trzeba

było coś mieć. Wtedy przenieśliśmy się do pracy w PGR Recz, w Nętkowie. Do pracy przyjmował mnie Pan Szozda. Praca w PGR to była lekcja życia. Ja tej pracy nie znałem, mimo że miałem doświadczenie w rolnictwie. Pracowałem tam trzy lata: od 1974 do 1977 roku. Od 1977 roku zająłem się swoim gospodarstwem. Wtedy też poznałem moją żonę, która pracowała w sanepidzie w Choszczynie.

Ojciec przepisał nam (mi i bratu) gospodarstwo dokładnie w 1978 roku, czyli minęło już 40 lat. Razem z bratem wybudowaliśmy to gospodarstwo, w którym teraz jesteśmy. To było w takich dość dobrych latach dla rolnictwa – myślę o latach 80. Wtedy rolnictwo bardzo mocno się rozwinęło, kwitła produkcja roślinna i zwierzęca. Rękawy trzeba było zakasać, ale były tego wymierne efekty, było to widać w sensie ekonomicznym.

Wybudowaliśmy się na ul. Lubanowskiej w latach 90. Po zmianach ustrojowych i likwidacji PGR-ów sytuacja dla rolników zrobiła się bardzo ciężka. Inwestując, musieliśmy co chwilę spłacać odsetki od kredytów, a te odsetki rosły z dnia na dzień. Zrobiło się ciężko. Dopiero po kilku latach zaczęliśmy wychodzić na prostą. Początek lat 90. to był najgorszy czas dla rolników i dla nas osobiście. Potem zrobiło się trochę lepiej. Pierwsze ziemię zaczęliśmy wydzierzawiać od upadających PGR-ów. Teraz razem z bratem mamy około 500 ha.

A może Pan powiedzieć, co jest dla Pana największym sukcesem?

Moim sukcesem jest to, że własnymi rękami stworzyłem gospodarstwo, w którym teraz jesteśmy. Mogę być z tego dumny. Teraz nastąpiły jednak znowu chude lata dla mojej branży – susza, nieudane żniwa, deszcze – pogoda nas ostatnio nie rozpieszcza.

Wróć jeszcze do PGR-ów. Problemy społeczne mieszkańców wiosek, w których upadały PGR-y były bardzo głębokie. Wcześniej ludzie, którzy tam mieszkali i pracowali, mieli bardzo rozbudowaną pomoc socjalną. Dzisiaj jej nie ma, a do takiej pomocy przez lata ludzie się przyzwyczaili. Do teraz nie wszyscy mogą sobie z tym poradzić. Wydaje mi się, że rolnictwo indywidualne przetrwało wszystkie te zmiany także dlatego, że rolnicy indywidualni musieli do swojego dojść pracą własnych rąk. Nam nikt niczego nigdy nie dawał. Podejście rolników indywidualnych i tych, którzy pracowali w PGR-ach było zupełnie inne. Mogę o tym powiedzieć, bo przez kilka lat pracowałem w Państwowym Gospodarstwie Rolnym i obserwowałem ludzi tam pracujących.

A jakie ma Pan oczekiwania związane z obszarami wiejskimi, z rolnictwem?

Chyba to, żeby młodzi ludzie chcieli pracować w tej branży. Żeby rolnictwo było bardziej doceniane przez władze, żeby rządzący ułatwiali start, rozpoczynanie działalności. Żeby rozwijało się profesjonalne doradztwo dla rolników. I muszę powiedzieć, że to Unia Europejska nami niestety rządzi. A tak nie powinno być. Życzyłbym sobie równości między rolnikami z Polski, Francji czy Niemiec. Żebyśmy byli tak samo traktowani jak rolnicy na zachodzie. My otrzymujemy dopłaty o wartości 1/3 tego, co otrzymuje rolnik z Niemiec. Nie jest to sprawiedliwe, bo nie możemy być konkurencyjni. Chcielibyśmy – jako rolnicy – większej ochrony dla naszej działalności ze strony państwa.

Dziękujemy za wywiad.

Rozmawiali: Aleksandra Gryczewska, Maciej Gryczewski

*O historii Sicka rozmowa z Panem
Zbigniewem Cybulskim i Panią
Sylwią Efuom*

Proszę powiedzieć jak daleko sięgają Pana wspomnienia związane z Reczem i okolicami?

Z. C. Od maja 1946r. - jak tutaj przyjechałem. Z początku należeliśmy do gminy Recz, potem zrobiono powiat choszczeński. Następnie przeniesiono nas do powiatu stargardzkiego. Nasza gmina znajdowała się w Dobrzanach, a później w Suchaniu. Raz byliśmy tutaj, raz tu! Nasza wioska była na granicy powiatu stargardzkiego i choszczeńskiego. Należeliśmy także do województwa gorzowskiego.

Jeszcze jak prowadziłem Rolniczą Spółdzielnię Produkcyjną w latach 1980-1990, to należeliśmy z początku do Szczecina, potem właśnie do Gorzowa. I tak nas przerzucano. W 1979r. założyłem Spółdzielnię tutaj w Sicku. Należeliśmy do Gorzowa, a później już przenieśli nas do Szczecina.

A proszę powiedzieć, w maju 1946 roku, jak Pan przybył na te tereny, to już Pan w Sicku zamieszkał?

Tak. W 1946 roku przyjechali moi rodzice. Przywieziono nas dokładnie z powiatu Sambor, województwo Lwów, a moją miejscowością rodzinną były Nadyby. Była to wieś licząca 400 mieszkańców. Pewnego dnia zapakowano nas i poszliśmy na stację. Były tam wagony bydłące i przywieziono nas na stację do Recza. Z początku mieli nas wywieźć na Śląsk, ale zawieźli nas właśnie tutaj. Rodzice chodzili i szukali miejsca do zamieszkania. Znaleźli je w Sicku. Te stare budynki, które wtedy stały, stoją do dziś. No i mieszkam tak do tej pory.

Byłem tutaj cztery kadencje sołtysem, teraz jestem nim po raz piąty. W międzyczasie troszkę robiliśmy tutaj w Sicku. Zrobiliśmy drogi asfaltowe. Walczyłem też strasznie w czasie suszy. Ludziom studnie wysychały i wody nie było. Jeździłem, gdzie tylko mogłem, żeby można było wywiercić tę studnię i udało się. Została studnia odwiercona i obudowana. I cała wieś została podłączona do wody. Później została zrobiona kanalizacja. Walczyłem o to i zostało to zrealizowane.

W 1979r. założyliśmy Spółdzielnię. Wtedy pełniłem funkcję zastępcy prezesa. W 1981r. przejąłem ją jako prezes. Prowadziłem ją do 1996 roku. Potem przeszedłem na emeryturę, a funkcję prezesa przejęła pewna pani, członek Spółdzielni. Zostałem szefem produkcji, ale dalej prowadziłem też działalność w Spółdzielni - do 2000 roku. Gdy zaczęła się likwidacja PGR-ów, zakłady, fabryki - wszystko zaczęło upadać. Po kilku latach również my podjęliśmy

decyzję o likwidacji Spółdzielni. Zabraliśmy swoje gospodarstwa.

Prowadziłem też gospodarstwo 12 - hektarowe, które po ojcu przejąłem. Jeszcze dodam, że prowadziłem sklep w Sicku. Prowadziłem go jakoś 12 lat. Gospodarstwo przekazałem potem synowi. I tak sobie teraz "sołtysuję", jeżdżę na sesje rady miejskiej. I chciałbym przeprowadzić się do Recza, po tylu latach mieszkania w Sicku.

Jakie jest Pana najmiłsze wspomnienie związane z naszą gminą?

Chyba praca w latach kiedy byłem sołtysem. Bardzo miło mi się pracowało. Ja nie lubię chodzić i nic nie robić. Lubię pracować. Cieszyło mnie to, że mieszkańcy Sicka mi zaufali, wybierając mnie sołtysem. Złączyłem trochę wioskę.

Jakie pamięta Pan miejsca związane z Reczem i Sickiem, o których warto wspomnieć?

Sicko to cała wieś. Odbudowaliśmy tutaj kościół. W pierwszych latach, kiedy wybrano mnie na sołtysa, to zaczęliśmy odbudowywać kościół. Nie miał on dachu, był zawalony. Jeździłem "za materiałami". Kiedyś o to było bardzo ciężko. Ludzie go budowali, a ja chodziłem, nadzorowałem, starałem się, żeby jak najszybciej ten kościół odbudować. Nawet moja księgowa - pani Procak, kiedy byliśmy w Spółdzielni, powiedziała: "Weźmy ten kościół odbudujmy". To właśnie ona mnie pobudziła do działania. Wziąłem się do pracy. No i doprowadzono do tego stopnia, że kościół właśnie tak dziś wygląda. Jest zadaszony, w środku są ławki. Są zrobione z drzewa należącego do Spółdzielni. Zawiozłem je do stolarza, ten zrobił dwanaście ławek. To była dla mnie ogromna radość, że potrafilismy go odbudować.

Czy praca sołtysa jest dla Pana satysfakcjonująca? Jakie widzi Pan dla siebie przyjemności, a jakie problemy?

Jeżeli chodzi o sam aspekt pracy, to kiedyś nie otrzymywało się za to pieniędzy, była to praca społeczna. Dopiero teraz, w tej kadencji, sołtysi dostają miesięczne wynagrodzenie. Ja jestem zadowolony z pracy sołtysa, bo mnie to bardzo cieszyło i cieszy. Od zawsze ją bardzo szanowałem i lubiłem. Pamiętam, jak chodziłem z teczką po wiosce i zbierałem podatki. Byłem zadowolony, że mogłem to robić, bo mogłem porozmawiać z ludźmi. Cieszę się, że mogę uczęszczać teraz na sesje. Staram się o to, żeby coś było zrobione w tej wsi. Jak widzę, że coś jest złe, to uważam, że trzeba to naprawić. Dlatego ostatnio na sesji poruszyłem sprawę drogi na stację kolejową w Reczu.

Z jakimi problemami borykają się mieszkańcy Sicka?

Dawniej tym problemem była wielka susza i ten brak wody, więc trzeba było coś z tym zrobić. Duża była pomoc w tym zadaniu wszystkich mieszkańców Sicka. A była to niewesoła sprawa. A obecnie? Mogę powiedzieć tylko, że jeszcze nie urodził się ten, co by wszystkim dogodził. I niestety

taka jest prawda. Ja jako pierwszy sőtys otworzyłem świetlicę wiejską w Sicku. W jej powstaniu też duży udział mieli mieszkańcy.

A proszę powiedzieć jak funkcjonuje teraz świetlica?

Sylwia Efuom – opiekun świetlicy: Przychodzą tutaj dzieci. Zazwyczaj w poniedziałek nikogo nie ma, bo to taki ciężki dzień dla każdego. Ale od wtorku ogólnie dzieci tutaj przychodzą, działają! Wiek uczestników jest zróżnicowany. Przychodzą maluszki, ale też młodzież. Dzieci, kiedy jest jakaś impreza do zrobienia, jakaś akcja, zawsze przychodzą i są gotowe do działania. Cały czas coś się dzieje.

A jakie są potrzeby takiej świetlicy?



S. E. U nas w Sicku jest to przede wszystkim ogrzewanie, ponieważ jest na tę chwilę bardzo słabe. Internet też jest nam potrzebny. Wiadomo jaka jest sytuacja, ale działamy, jak możemy. Największym ogólnie problemem są finanse.

Mieszkańcy Sicka angażują się w sprawy świetlicowe?

S. E. Tak, zawsze można liczyć na ich pomoc. Jeśli rzucimy jakieś hasło, np. że trzeba upiec ciasto, zawsze nam pomogą. Mieliśmy też kiedyś koło gospodyń wiejskich.

Czy uważa Pan, że nasze okoliczne wioski są atrakcyjne?

Z. C. Powiedziałbym, że te wioski są dosyć okolicznościowe. Sokoliniec - jak to mówią - jest "popegeerowski", ale zaczyna się rozwijać. W Żeliszewie też, jak tam sobie jeżdżę, bo mam siostrę, to jadąc przez tę wioskę widać, że coś się tam dzieje. Jest tam jezioro, bardzo dużo ludzi nad nie jeździ. To duża atrakcja.

A w Sicku?

Z. C. W Sicku niekoniecznie są tak atrakcyjne miejsca.

A czy to prawda, że w Sicku było kiedyś lotnisko?

Z. C. Tak! Było za jeziorem na górze. Były tam samoloty, owszem były. Pamiętam, jak tam do nich chodziliśmy. Tak samo w Sicku była kiedyś poczta, kowal. Mieliśmy młyn. Poczta była tutaj, gdzie teraz mieszka pan Władek Mielniczyk. Na rogu była knajpka. Młyn działał

jeszcze, jak ja tutaj przyjechałem. Potem został niestety zlikwidowany.

S. E. *Jest to wioska z historią. Kiedy szukaliśmy starych informacji o wioskach, znaleźliśmy informację, że Sicko nazywało się kiedyś Alter Wedel.*

Jakie postacie związane z Reczem i okolicznymi wioskami warto według Pana zapamiętać?

Z. C. *Był ksiądz, który nazywał się Alojzy Krygier. To właśnie z nim zacząłem odbudowywać ten kościół. Teraz mieszka on już w "swoich stronach", dokładnie gdzieś koło Krakowa. Pomógł nam w tym jeszcze pan Franek Brzozowski. Za darmo podłączył nam całą energię i oświetlenia. Był tutaj pan Józef Koko, który był sołtysem 30 lat. Pozbył się gruzu z zawałonego kościoła.*

Jak długo wspomniany ksiądz był tutaj proboszczem?

Z. C. *Nie jestem w stanie dokładnie powiedzieć, ale było to kilka dobrych lat.*

O jakich latach mówimy?

Z. C. *To były lata 70-te.*

Dlaczego zdecydował się Pan zostać sołtysem?

Z. C. *Proste! Mieszkańcy Sicka prosili mnie o to, bym został sołtysem i chcieli, żebym to ja odbudował nasz kościół. To był główny powód. Ja na zebraniu wyraziłem zgodę na zostanie sołtysem. I starałem się wykonać swoje zadanie. Było to też swojego rodzaju moje hobby.*

Jak zmieniały się obszary wiejskie na terenie naszej gminy? Jak wyglądała wieś kiedyś, a jak wygląda obecnie?

Z. C. *Nasza wieś troszkę się rozbudowała. Kiedy ja tutaj przyjechałem, to jedyne co tutaj było to gruzy, kupa gruzów. Cegłę czyściliśmy ręcznie. Później przez bardzo długi okres czasu mieszkańcy Sicka zaczęli sami odbudowywać nowe budynki. W tym samym czasie rozpoczęto odbudowę Warszawy i dużo materiałów było tam wysyłanych. Były tutaj prowadzone kapitalne remonty. Świetlica była lekko odbudowana, bo była tutaj kiedyś szkoła. Chodziły do niej dzieci z Sicka i Wapnicy. Mieszkało wtedy tutaj aż 160 mieszkańców. Obecnie połowa budynków, która kiedyś stała, została zniszczona. Cegła, która zostawała była wywożona do Warszawy.*

Czym zajmowali się rolnicy kiedyś?

Z. C. *Wcześniej rolnicy zdawali plan zboża i woziliśmy go do magazynów do Recza. Woziliśmy go tam, gdzie jest teraz rozlewnia. Tam był magazyn zbożowy dla naszej gminy. Był tam skup zboża. Workami znosiliśmy tam zboże, kładliśmy je na wagę, a potem wysypywaliśmy. To były moje ulubione lata młodości!*

Tutaj - w Sicku - rolnicy mieli najczęściej dużo świń. Mieli też krowy, kozy, barany, konie. To

wszystko było tutaj w Sicku produkowane. Prowadzona była produkcja mięsa. W Reczu był też skup trzody chlewnej. Skup był za piekarnią. Tam dalej - za apteką - był taki duży, ponie-miecki budynek i tam był właśnie skup. Kolejki były ogromne! Jak jedzie się z Choszczna - jed-na kolejka była przy baszcie, druga przy ośrodku. Pamiętam jak jeździłem tam jeszcze z ojcem. Prowadzało się na sznurkach krowę...

Jakie były problemy rolników w latach powojennych?

Z. C. Moim zdaniem, to nie było wtedy tak jak jest teraz. Teraz zadzwonimy, zabierają zbo-że. Wtedy rolnik miał taki problem, że musiał dostarczyć to wszystko sam. Sam musiał poje-chać, pozałatwiać, dostarczyć. Ale była jedna wygodna sprawa. Rolnik zawiózł zwierzę czy zbożę, dostał kwit, bo w Reczu była kasa. Szedł i od razu dostawał pieniądze. To było ułatwie-nie. Nie trzeba było czekać.

Jak kiedyś wyglądały żniwa?

Z. C. A ... to akurat proste! Na wiosce się zboże zasiało, na jesieni się poprawiło. Ja miałem taką tzw. „garściówkę”, dwa koniki ... wsiałem i do pracy. Musiałem wziąć jeszcze kosę i pojechać do sąsiada naokoło obkosić, żona z tyłu szła i zbierała to. Potem to powiązałem. Ja sam z żoną prawie hektar żyta kosłem kosą. Na wóz się składało zboże w snopkach, potem maszyna to czyściła i wywożono na sprzedaż. No, a później w użycie weszły kombajny. W Sicku było ich cztery. Koszono też sierpami. Mam taki sierp w domu! Pamiątka!

Jakie więzi tworzyły się pomiędzy mieszkańcami Recza kiedyś, a jakie teraz?

Z. C. Wcześniej już mówiłem ... Jak byli kiedyś tutaj w Sicku sami rolnicy, to wszyscy sobie nawzajem pomagali. Jeden drugiego doceniał. Ludzie kiedyś żyli w zgodzie. Teraz jest inaczej. Obecnie jest dużo nienawiści i zazdrości. O to, że ktoś ma coś lepszego. Ja kiedy założyłem Spółdzielnię i ona dzielnie działała, to niektórzy byli do niej wrogo lub obojętnie nastawieni. Kiedy jednak zacząłem odbudowywać kościół, ich postępowanie wobec mnie się zmieniło.

Czy istnieje integracja społeczności w Sicku, np. dzięki świetlicy?

Z. C., S. E. Tak. Jeżeli jest taka potrzeba, to wszyscy pomagają. Sadziliśmy drzewka, całe lato. Dorośli sadzili, dzieci podlewały. Czyściliśmy klomby. Wysprzątailiśmy to, a nie było ła-two. Były spory, ale udało się nam. Sicko organizuje też huczny dzień dziecka. Zbieraliśmy też jajka wielkanocne.

Dziękujemy za wywiad

Rozmawiały: Adriana Cybulska, Klaudia Dłużniewska

*O rolnictwie, problemach mieszkańców i
zabytkach Pomienia rozmowa z Panem
Andrzejem Hejzą*

Proszę powiedzieć jak daleko sięgają Pana wspomnienia związane z Reczem i Pomieniem?

Do Pomienia przeprowadziłem się w roku 1982 po objęciu funkcji Kierownika Zakładu Rolnego Pomień, który wówczas wchodził w skład Państwowego Przedsiębiorstwa Gospodarki Rolnej Choszczno z siedzibą w Wardyniu. Od tego okresu sięgają moje wspomnienia dotyczące Gminy Recz oraz miejscowości Pomień.

Jakie było najmlsze wspomnienie związane z naszą gminą w latach Pana dzieciństwa i obecnie?

Lata dzieciństwa spędziłem w gminie Drawno w miejscowości Barnimie, gdzie mieszkałem do ukończenia szkoły średniej. Nie miałem w tym okresie żadnych związków z Gminą Recz. Moje związki z tym miastem pojawiły się z chwilą zamieszkania w miejscowości Pomień. Najmlsze wspomnienia to oczywiście narodziny moich córek.

Jakie pamięta Pan miejsca związane z Pomieniem, o których warto wspomnieć?

Trudno tu mówić o jakiś szczególnych miejscach, ale na pewno należy wspomnieć o dobrze funkcjonującej byłej Szkole Podstawowej. Trochę żal, że obecnie budynek byłej szkoły stoi praktycznie pusty.

A jakie postaci lub wydarzenia związane z Pomieniem i Reczem warto według Pana zapamiętać i dlaczego?

Wydarzeń takich było sporo. Na pewno ważnymi wydarzeniami dla społeczności Pomienia były jubileusze powstania Ochotniczej Straży Pożarnej, która w 2018 roku będzie obchodziła 70-lecie powstania. Bardzo uroczyście było obchodzone 40-lecie powstania OSP z udziałem władz wojewódzkich z Gorzowa.

Postacią, która na pewno zapisała się w historii Pomienia jest Pani Grażyna Mądrzak – długoletnia dyrektor Szkoły Podstawowej.

Z jakimi problemami borykały się wioski na terenie naszej Gminy kiedyś, a jak to wygląda dzisiaj?

Wśród głównych problemów na terenach wiejskich w poprzednich latach można wyróżnić problem wyposażenia wsi w infrastrukturę komunalną (wodociągi, kanalizacja, dobre drogi), sprawy związane z komunikacją do miasta oraz sprawnym zaopatrzeniem. Ale wówczas przynajmniej był jakiś większy entuzjazm wśród mieszkańców do integrowania się, działalności społecznej. Obecnie widoczny jest brak zainteresowania w działania na rzecz dobra wspólnego. Mieszkańcy zamykają się w obrębie własnych prywatnych spraw. Trochę szkoda. Młodzież woli spędzać wolne chwile przed komputerem.



W poprzednich latach bardzo aktywnie działało Koło Gospodyń Wiejskich, Klub Rolnika i świetlica wiejska w budynku szkolnym. Obecnie część młodzieży bardzo aktywnie uprawia sport w klubie piłkarskim ISKRA Pomień.

Pełnił Pan kiedyś funkcję Starosty Dożynek. Proszę o tę rolę opowiedzieć. Czy zaproszenie do pełnienia takiej funkcji było dla Pana nobilitujące?

Tak, rzeczywiście pełniłem rolę Starosty Dożynek Wojewódzkich, które były organizowane w naszej Gminie. Nie odczuwałem tego jako jakiejś szczególnej nobilitacji, bardziej jako motywację do dalszej pracy. Władze Gminy Recz dostrzegły wysokie plony, jakie osiągał Zakład Rolny Pomień w okresie, gdy byłem jego kierownikiem. Na pewno czułem pewną satysfakcję, że pomimo młodego wieku, w jakim wtedy byłem, udało się coś zrobić.

Jak wyglądały dożynki kiedyś?

W tamtych latach (lata 80. ubiegłego wieku) dożynki miały bardzo świecki charakter. Nie było mszy dziękczynnej za zebrane plony. Ale za to były korowody, wieńce, wręczanie chlebów, odznaczenia dla rolników za pracę na roli i osiągnięte plony. Należy podkreślić, że w tamtym okresie było znacznie więcej wieńców, gdyż praktycznie z każdego sołectwa były przygotowywane. Pamiętam, że zawsze najokazalsze były przywożone z Sicka.

Był Pan kiedyś kierownikiem Państwowego Gospodarstwa Rolnego, tzw. PGR-u. Jak to było z tymi PGR-ami? Jak one funkcjonowały?

Rzeczywiście byłem Kierownikiem PGR – u, w którym pracowałem w latach od 1978 do 1997, czyli bez mała 20 lat. Był to okres różnej pracy. Na pewno funkcjonowanie PGR-ów pozwalało dać zatrudnienie wszystkim mieszkańcom wsi. Praktycznie nie było bezrobocia. Była prowadzona wielokierunkowa produkcja rolna, gdyż hodowano wszystkie gatunki zwierząt, nawet owce, a w produkcji polowej wykorzystywano każdy hektar ziemi. Nie było żadnych odłogów. Staraliśmy się zachować prawidłowy płodozmian bez jakiejś monokultury.

Warto dodać, że w Pomieniu był bardzo zabytkowy i ciekawy pod względem konstrukcji budowlanej budynek owczarni, w którym hodowaliśmy 600 sztuk matek rasy „merynos”. Jagnięcia w całości były eksportowane do Włoch jako bardzo poszukiwany towar. Konstrukcja budowlana tego budynku była tak ciekawa, że

przyjeżdżali studenci z Politechniki Szczecińskiej w celu oglądania rozwiązań konstrukcyjnych więźby dachowej. Niestety, w wyniku zaniedbań, po likwidacji PGR-ów budynek rozebrano. Wielka szkoda!

Inne budynki inwentarskie były w pełni zasiedlone, produkowano w nich mleko, żywiec wołowy oraz hodowało się trzodę chlewną. W Pomieniu bardzo dobrze funkcjonowała gorzelnia rolnicza, w której jako zabytek pozostała maszyna parowa, ale obecnie ktoś to wszystko rozsprzedał.

W jaki sposób zapamiętał Pan przemiany gospodarcze i likwidację PGR-ów w latach 90.?

Z mojego punktu widzenia była to bardzo szkodliwa i przynosząca bardzo duże straty gospodarcze decyzja polityczna. Program restrukturyzacji PGR powinien być odbywać się na zupełnie innych zasadach i warunkach ekonomicznych. Majątek oraz ziemię należało tak zagospodarować, żeby nie powstało tak dużych strat, zwłaszcza społecznych. Robiono wszystko na żywioł, bez przemyślenia co będzie z ludźmi, którzy tam pracowali. Pracownicy byłych PGR-ów z dnia na dzień zasilili rzesze ludzi bezrobotnych. W skali kraju było to ok. 0,5 mln ludzi, łącznie z rodzinami. Po prostu był to dramat społeczny. Wówczas wiele spraw spadło na samorząd gminy. Nie chciano słuchać o wprowadzeniu innych rozwiązań ekonomicznych, jakie były stosowane w innych krajach o podobnym ustroju, np. w byłej Czechosłowacji.

Jakie były problemy mieszkańców i pracowników w czasach funkcjonowania PGR-ów?

Wśród głównych problemów w tamtych czasach znalazł się problem ciężkiej pracy, bez względu na warunki pogodowe. W produkcji zwierzęcej była to praca w każdy dzień tygodnia. Z drugiej strony praca dawała poczucie bezpieczeństwa finansowego i socjalnego.

W jaki sposób porównałby Pan rolnictwo w Gminie Recz kiedyś i obecnie?

W ostatnich 20 latach, a szczególnie po wejściu Polski do Unii Europejskiej, rolnictwo, a dokładniej produkcja polowa, praktycznie jest nie do porównania. Wyposażenie w sprzęt rolniczy, nowe technologie, nowe odmiany roślin, nawozów i środków ochrony roślin spowodowały, że obecne rolnictwo, to stojąca na wysokim poziomie rewolucja. Jednocześnie widoczny jest brak zainteresowania ze strony rolników na szerszą skalę produkcją zwierzęcą, przede wszystkim koncentrują się na uprawach polowych. Istniejące dopłaty bezpośrednio do produkcji rolnej oraz inne programy pomocowe dla rolników



spowodowały całkowite przeobrażenie rolnictwa jako całości życia gospodarczego. Poziom dochodów rolników w sposób zdecydowany poprawia się i coraz szybciej zbliża się do dochodów osób pracujących poza rolnictwem.

Jakie sukcesy w swojej pracy jako kierownika PGR-u mógłby Pan wymienić?

Na pewno dużym sukcesem było to, że w Zakładzie Rolnym Pomień zatrudnionych było, w różnych okresach, od 60 do 80 osób. Ludzie mieli pewną i stabilną pracę. Osiągane wysokie, jak na warunki glebowe Pomienia, plony roślin związane z prawidłową agrotechniką sytuowało Zakład Rolny w czołówce innych zakładów w ramach PGR. Chciałbym również podkreślić, że w okresie mojej pracy, w latach 80. ubiegłego wieku, jako kierownika przy pomocy sprzętu jakim dysponował PGR i przy zaangażowaniu różnych ludzi, udało się dokonać remontu wewnątrz kościoła w Pomieniu. Chociaż później miałem z tego różne problemy, gdyż dysponowałem nieodpłatnie sprzętem PGR-u, ale takie kiedyś były czasy. PGR wspierał też miejscową Ochotniczą Straż Pożarną, zarówno finansowo jak i kadrowo, a także nieodpłatnie tzw. bonanzą woziliśmy co niedzielę zawodników klubu piłkarskiego oraz kibiców na mecze.

Proszę powiedzieć, czym zajmuje się Pan dzisiaj?

Obecnie od 21 lat pracuję w Urzędzie Miejskim w Reczu na stanowisku Inspektora ds. ochrony środowiska i gospodarki komunalnej. Charakter mojej pracy jest zgodny z wykształceniem kierunkowym, gdyż w 1978 uzyskałem stopień magistra inż. w Akademii Rolniczej w Szczecinie o kierunku ochrony środowiska i roślin.

Co według Pana zmieniło się w Pomieniu, odkąd Pan pamięta?

Zmieniło się bardzo dużo i to zarówno w sferze społecznej, gospodarczej jak i przestrzennej. Chyba największy żal o dokonaną degradację zabytkowej zabudowy folwarcznej i budynków gospodarczych, np. budynku byłej owczarni, a przecież są to obiekty wpisane do rejestru zabytków. Szkoda też, że tak okazały budynek byłej szkoły jest niezagospodarowany i stoi tyle lat pusty... na pewno w jakiś sposób niszczyje.

W ostatnich latach zauważa się rozwój budownictwa jednorodzinnego w Pomieniu. Na tle gminy, w Pomieniu (poza Reczem), powstaje najwięcej domków. Jest to bardzo optymistyczne, gdyż jest szansa, że wieś nie będzie obumierać i wyludniać się, jak to widać w innych wsiach Gminy Recz (np. Sokoliniec). Obecnie największym mankamentem wsi jest brak zbiorczej kanalizacji sanitarnej. Jest to problem, który z uwagi na dużą ilość budynków wielorodzinnych musi być rozwiązany w pierwszej kolejności.

Jakie relacje tworzyły się między mieszkańcami Pomienia kiedyś i obecnie?

Relacje pomiędzy mieszkańcami wsi wynikają z sytuacji życiowych, społecznych i gospodarczych. W okresie, gdy ludzie mieli pracę, czuli stabilizację finansową, panował większy optymizm. Jednakże z chwilą, gdy załamały się wszystkie relacje gospodarcze, utrata pracy i stabilizacji, niepewność tzw. jutra bardzo zmniejszała wielu ludzi, zwłaszcza nieco starszych, do jakichkolwiek działań i zaangażowania. Część z nich po prostu nie mogła odnaleźć się w zmienionej rzeczywistości, popadając niemalże w swoistą apatię i ogólne znie-

chęcenie. Obecnie widoczne są oznaki większego optymizmu, który wynika z możliwości znalezienia pracy, poczucia stabilizacji, stąd też podejmowane są decyzje o np. budowie nowych domów.

Czy według Pana Pomień jest atrakcyjnym miejscem turystycznym?

Oczywiście trudno o tym tak jednoznacznie mówić. W latach, gdy burmistrzem był Pan Zbigniew Ligus, były plany, ażeby na bazie byłego budynku szkoły utworzyć regionalny ośrodek edukacji ekologicznej. Niestety, tego pomysłu następcą Pana Ligusa nie kontynuował. Pan Zbigniew Brzozowski usilnie starał się o przejęcie byłej owczarni na utworzenie muzeum sprzętu rolniczego, ale w wyniku postawy ANR oraz innych osób, pomysł ten nie mógł być zrealizowany. Jak wcześniej wspomnia-

łem cały zespół zabudowy folwarcznej, budynek byłej gorzelni uznane są jako za-
bytki. Zdaję sobie jednak sprawę, ażeby przywrócić ich dawny wygląd i żeby mogły stać się obiektem zwiedzania, potrzebne są bardzo duże nakłady finansowe. Zapewne za jakiś czas podzielą – niestety – los budynku byłej owczarni.



W okolicach Pomienia jest bardzo dużo cieka-

wych miejsc przyrodniczych, które czekają na opis i odkrycie. Może obiektem, który będzie budził zainteresowanie, będzie planowana budowa biogazowni rolniczej na terenie zrekultywowanego składowiska odpadów komunalnych, które też jest swoistym obiektem do oglądania.

Dziękuję za wywiad.

Rozmawiała
Daria Konieczna

P o s t s c r i p t u m

Z T r o ś c i a ń c a d o R e c z a - m o j e *p o s z u k i w a n i a d o m u*

Urodziłem się w 1929 roku w Trościańcu Wielkim na Podolu (obecnie Ukraina). Tata mój był wójtem wioski. Wyjechał w celach zarobkowych do Ameryki. Gdy wrócił, za zarobione pieniądze kupił parcelę (działkę) od polskiego hrabiego Wodzickiego. Wybudował na niej piękny dom, budynki gospodarcze, stolarnię. Sprzedaliśmy stary dom w Trościańcu i wyprowadziliśmy się do nowego domu, na tzw. Bemówkę. Mieliśmy tam sad z młodymi drzewkami. Tuż przed wybuchem wojny zaczął dawać owoce. W jednym rzędzie mieliśmy jeszcze ule z pszczołami więc baliśmy się tam chodzić, żeby nas nie użądliły. Wraz z siostrą Rozalką jako dziecko pastem krowy na łące niedaleko domu, oraz prowadziłem konie w kieracie. To należało do naszych obowiązków. Do pierwszej Komunii Świętej przystąpiłem w roku 1939.

Ukraińcy u nas pracowali, zarabiali pieniądze, a mama dawała im obiady i nawet jak do domu szli to dostawali bochenek chleba, bo mama dla nich też piekła. Dawała im też słoninę do torby, czego nawet ojciec nie wiedział. Przed wojną wszystkie narodowości: Ukraińcy, Żydzi, Polacy, żyli we wsi w zgodzie. Dopiero wojenna zawierucha zweryfikowała te znajomości. Ukraińcy w czasie wojny odwiedzili nas się.

Niedaleko nas mieszkała moja koleżanka Władzia. Nazwiska jej nie pamiętam. Ukraińcy podczas wojny wystrzelali całą jej rodzinę. Tylko ona została, bo schowała się pod łóżko, gdy weszli z karabinami. Najpierw szukali jej ojca i go zabili, bo stał przy drzwiach jak je zamknął, później zabili jej mamę i dwóch braci. Jej nie znaleźli, bo myśleli, że nikogo więcej nie ma w domu. Jakiś czas przebywała u nas, a później zabrała ją dalsza rodzina. Przed wyjazdem na Syberię ukrywaliśmy się u ciotki Kaśki Worobiec. Uciekliśmy z Bemówki, bo baliśmy się. Ukraińcy napadali i zabijali. Jak tę, jedną rodzinę zabili, wystraszyliśmy się i uciekliśmy do Trościańca. Wszystkie wartościowe rzeczy pochowaliśmy, bo myśleliśmy, że wrócimy. Bydło zostało. Michał i Wicek (najstarsi bracia) chodzili na Bemówkę pod osłoną nocy i karmili nam te zwierzęta.

Jednak przyszli i po nas. 10 lutego 1940 r. wraz z rodzicami i trójką rodzeństwa zostałem zesłany na Syberię. Byłem małym chłopcem, gdy wywieziono nas za Ural do miejscowości Krasnyj Lotczyk. Stamtąd przewieziono nas do Niżnopawłowska w okolice Czkałowa. Zapukali do drzwi o 4 nad ranem i kazali nam się ubierać. Rodzice wiedzieli, że będą nas wykułaczac - przesiedlac gdzieś, nie wiadomo gdzie. Gdy przyszli żołnierze rosyjscy schowałem się z siostrą Rózią w chlewie pod korytem, ale wyszliśmy jak zobaczyliśmy, że zabierają rodziców. Byliśmy przerażeni, mama i ciocia płakały, strasznie się baliśmy. Żołnierze rosyjscy mówili nam, że to na parę dni, ale ojciec chyba już wiedział, co z nami będzie...

Nic ze sobą nie wzięliśmy, tylko to, w co kazali się ubrać. Pamiętam, że staliśmy tydzień w Zborowie upchani w wagonach jak zwierzęta, w chłodzie i głodzie.

Michał i Wicek dowiedzieli się, że zabierają ludzi na Sybir. Przywieźli nam ubrania, worek grochu, mąki, kaszę. Wiem, że ojcu udało się z nimi nawet porozmawiać, ale ja widziałem tylko to, co przywieźli, do

tego jakieś okrycia, może to były kołdry... Nie pamiętam dobrze.

Pozabierali to wszystko z Bemówki i nam przywieźli do pociągu. Dzięki temu mieliśmy co jeść w długiej, męczącej podróży. Byliśmy zamknięci w wagonach. Wypuszczali nas tylko po wodę i wylewali na zewnątrz fekalia. Jedna kobieta była w ciąży. Młoda, ładna. Jak urodziła, to Ukraińcy wyrzucili na mróz to dziecko. Ona tak rozpacziała, później zwariowała. Na wszystkich się rzucała, krzyczała, dlaczego nikt nie obronił jej dziecka? Mama nas chroniła, zawsze nas do kąta pchała i nakrywała czymś, żeby ona nas nie ruszała. Później nie wiem, co się z nią stało, zabrali ją i więcej jej nie widzieliśmy. W wagonie był piecyk, za nim wiadro na fekalia. Nie wiedzieliśmy, gdzie jedziemy, wszyscy byliśmy wystraszeni, głodni, zmarznięci, płakaliśmy... Pociąg jechał przeważnie nocą, a w dzień stawał na stacjach lub w polu. Z rana dostawaliśmy do wagonu czaj (herbatę) w wiadrze na cały dzień. Tylko raz dziennie jakąś zupę z kromką chleba, którą zostawialiśmy sobie na drugi dzień. Całe szczęście, że bracia dali nam trochę zapasów jedzenia.

Podczas dnia przy wagonach stali żołnierze z bronią i pilnowali nas, abyśmy nie uciekli. Nocą wagony były plombowane, aby Ci, co nas pilnują, mieli pewność, że nikt nie zbiegł z wagonu.

Jechaliśmy bardzo długo, a wagonów było tyle, że nie było widać ich końca.

Gdy dojechaliśmy na miejsce, zamieszkaliśmy w parę rodzin w dziurawym baraku. Między belkami w ścianach wiał wiatr i sypał śnieg. Spaliśmy na pryzkach.

Topiliśmy śnieg, żeby mieć wodę do mycia. Nie mieliśmy też jedzenia. Z głodu zbieraliśmy oberki od ziemniaków, które wyrzucało wojsko rosyjskie i gotowaliśmy je.

Wodę trzeba było kupować od Rosjan za zarobione ciężką pracą pieniądze. Chrust zbierało się codziennie, żeby nie zamarznąć. Ojciec musiał pracować w tartaku. Woził wagonikiem trociny, ładował i rozładowywał je. Siostra Rozalka pomagała mu, bo ojciec miał już słaby wzrok (był już w podeszłym wieku). Ja, z powodu tego, że byłem najmłodszy, zostawałem z mamą. Nosłem wodę, zbierałem chrust i paliłem w piecu. Siostra Emilka układała deski w tartaku, potem pracowała w kopalni. Za pracę dostawaliśmy małe porcje chleba. Ojciec przynosił z pracy trociny i zapychał nimi dziury między belkami.

Józef pracował w kopalni rudy, którą przetapiali na złoto, ale ponieważ miał skończoną szkołę oficerską zabrali go do wojska. Później dowiedzieliśmy się, że zginął w 1944 roku w Warszawie na Pradze. Do dziś nie odnaleziono jego grobu.

Gdy wracaliśmy z Syberii, zaraziliśmy się w pociągu tyfusem. W Czelabińsku wszystkich nas chorych wysadzili i skierowali do szpitala. My dzieci, Emilka, Rozalka i ja leżeliśmy na jednej sali. Ogolili nas wszystkich na tyso. Emilka, jako najstarsza siostra opiekowała się nami, podawała nam wodę, bo mieliśmy wysoką gorączkę. Spędziliśmy w szpitalu trzy tygodnie. Ojciec w tym czasie też ciężko zachorował i leżał w szpitalu. Tylko mama go odwiedzała. Zmarł z głodu i choroby. Pochowali go w zbiorowej mogile. Nie wiemy gdzie. Nigdy nie mieliśmy szansy dowiedzieć się tego ani odnaleźć tej mogiły.

Kiedy wyzdrowieliśmy, podjechały po nas rosyjskie ciężarówki i zabrali nas do kotchozu. Praco-

waliśmy: Emila i Rózia doity krowy, ja pastem owce. Pamiętam jedno wydarzenie, właśnie z tamtych czasów, gdy pracowaliśmy w kotłochzie, miałem wtedy może 13 lat, całe stado wilków napadło na owce, które pilnowałem. Udało mi się uciec na jakąś stertę siana czy słomę, dokładnie nie pamiętam, ale wiem, że strasznie to przeżyłem. Widziałem, jak wilki rozszarpują owce. Sam uszedłem ledwo z życiem. Pamiętam, jak tamtego dnia wpadłem do domu i rzuciłem się mamie w ramiona przeraźliwie krzycząc i płacząc. Od tamtej pory już nie pastem owiec.

Emilka jeździła też pracować w polu, przywoziła zerwane przy drodze kłosa, drobiliśmy je i piekliśmy z nich placki. Chwytałyśmy się tam wielu prac. Rozalia liczyła owce i były to takie czasy, że żeby zjeść mięso, odliczała tak te owce, umyślnie o trzy jagniaci mniej, żeby sąsiedzi w nocy mogli je zabrać (ukraść) i podzielić między nas - polskie rodziny.

Żeby zjeść mięso, musieliśmy ryzykować, mogli nas za to rozstrzelać albo wsadzić do więzienia. W strachu i pod osłoną nocy sąsiedzi wykradali jagniaci i kroili mięso, a skóry palili, żeby zatrzeć ślady. Życie na zesłaniu zmuszało nas do takich zachowań...

Zdarzały się też przyjemne chwile w kotłochzie. Latem zbieraliśmy się z sąsiadami, Polakami też zesłanymi, i urządzaliśmy sobie wieczorki na podwórku. Jeden z sąsiadów grał na akordeonie, a my dzieciaki, tańczyliśmy. Pamiętam, że były to rosyjskie melodie, bardzo skoczne. Uwielbiałem tańczyć, miałem niesamowity dryg do tańca.

W kotłochzie wieczorami Rozalka wyszywała koszule dla sąsiadów Rosjan. Nauczyła się tego jeszcze w Trościańcu, u zakonnic. Za to dostawała od nich masło lub mąkę. Można powiedzieć, że w kotłochzie było nam łatwiej żyć. Nie było takiego mrozu i głodu jak na Syberii. Tu jednak pochowaliśmy mamę. Zmarła w 1943 r. Nie stać nas było na godziwy pochówek. Sam skleciłem z desek trumnę i krzyż. Pochowaliśmy ją za kotłochzem. Następnego dnia nie było śladu po mogile... następnego dnia wypuszczono tamtędy bydło, które stratoowało to, co przygotowaliśmy jako pochówek mamy.

Do 1946 roku pracowałem w kotłochzie w Stacji Obsługi Rolnictwa w Niżnopawłowsku w ZSRR. Tam uczyłem się obsługi detów (rodzaj ciągnika) i innych sprzętów rolniczych. Gdy ogłoszono koniec wojny, namawiali mnie, bym został w ZSRR i przyjął obywatelstwo rosyjskie. Wiedziałem, że najbliższa rodzina jest już w Polsce. Po repatriacji w marcu 1946 roku przyjechałem na ziemie zachodnie do Kosieczyna, gdzie mieszkali najbliżsi. Później wyjechałem do pracy jako mechanik w Zespole Państwowych Gospodarstw Rolnych w powiecie głogowskim. Posiadałem duże umiejętności w obsłudze i naprawie ciągników gąsienicowych DT, które sprowadzono po wojnie ze Związku Radzieckiego (tych umiejętności nauczyłem się w kotłochzie). Dodatkowo pracowałem w Lidze Ochrony Kraju w Ośrodku Szkolenia Zawodowego Kierowców w Głogowie. Tam na jednym z kursów, które prowadziłem, poznałem swoją żonę. Razem z nią i córką wyjechaliśmy do Stubic, gdzie mieszkaliśmy przez rok. W 1976r. kolejne przeniesienie pracownicze. Tym razem trafiliśmy do Recza, gdzie pracowałem w Choszczeńskim Kombinacie Rolnym, Zakładzie Rolnym Recz, jako główny specjalista ds. mechanizacji. Tu przychodzi na świat nasz syn. Przechodzę na rentę. W Reczu prowadzę kursy

na kartę rowerową dla uczniów Szkoły Podstawowej. Jestem też jednym z pomysłodawców Miasteczka Ruchu Drogowego, gdzie uczniowie zdają egzaminy na kartę rowerową. Nasze dzieci kończą tu szkołę. Córka idzie na studia, a syn do szkoły średniej. W 1995r. rozpoczynam generalny remont naszego domu w Reczu. Nie kończę go. Tracę przytomność i umieram na zawał serca w drodze do szpitala.

Recz stał się moim drugim i ostatnim miejscem na ziemi.

Jan Olender



S p i s f o t o g r a f i i

- Strona 1 - „Czosnek niedźwiedzi - wizytówka rezerwatu przyrody „Grądowe zbocze”;*
- Strona 5 - Plan sytuacyjny rezerwatu przyrody „Grądowe zbocze” - archiwum własne M. Wojciechowskiej;*
- Strona 6 - Fragment dokumentacji rezerwatu przyrody „Grądowe zbocze” - archiwum własne M. Wojciechowskiej;*
- Strona 7 - Strona „Monitora Polskiego” z dnia 5 lipca 1996 r. - archiwum własne M. Wojciechowskiej;*
- Strona 8 - Zestawienie tabelaryczne „Pomniki przyrody w gminie Recz” - opracowanie dr inż. E. Dusza - Zwolińska;*
- Strona 9 - „Lasy Puszczy nad Drawą”. Obszar Natura 2000, obszary specjalnej ochrony - opracowanie dr inż. E. Dusza - Zwolińska;*
- Strona 10 - „Dolina Iny Koło Recza”. Obszar Natura 2000, obszary specjalnej ochrony - fot. dr inż. E. Dusza - Zwolińska;*
- Strona 12 - Jeziora Cedynia w Żeliszewie - fot. M. Dobrodziej;*
- Strona 13 - Jezioro Cedynia w Żeliszewie - fot. M. Dobrodziej;*
- Strona 15 - Dożynki w Reczu - fot. M. Dobrodziej;*
- Strona 17 - Park w Suliborzu (pozostałości kamiennego kościoła z XIII w.) - fot. P. Biskupska;*
- Strona 18 - Ruiny kościoła w Suliborku - fot. P. Biskupska;*
- Strona 19 - Okolice młyna wodnego w Rybakach - fot. P. Biskupska;*
- Strona 21 - Okolice Recza - fot. M. Gryczewski;*
- Strona 22 - Okolice Recza - fot. M. Gryczewski;*
- Strona 27 - Kościół w Sicku - fot. B. Zbonikowska;*
- Strona 31 - Kościół w Pomieniu w parku podworskim - fot. M. Gryczewski;*
- Strona 32 - Budynek byłej szkoły podstawowej w Pomieniu - fot. M. Gryczewski;*
- Strona 34 - Pozostałości po kaplicy cmentarnej z XIX w. w Pomieniu - fot. M. Gryczewski;*
- Strona 38 - Syberia. Rok 1941. Jan Olender z rodzicami i siostrą - archiwum własne M. Olender - Zań.*

Redakcja:

Aleksandra Gryczewska

Monika Olender- Zań

Adriana Cybulska

Klaudia Dłużniewska

Hanna Szremska

Angelika Sikora

Daria Konieczna

Maciej Gryczewski